# DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

# NA

# MIESIĘCZNIK

# DROGA

## MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

LIPIEC 1936 ROK XV Nr. 6

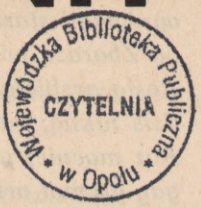
## TREŚĆ

**Mieczysław Lisiewicz:** Pogrzeb Piłsudskiego (fragment poematu) . . . . . 437
**Stanisław Rogowski:** Mit . . . . . 438
**Teodor Pobóg:** Rozmowa na Rossie . . . . . 439
**Olgierd Górka:** Koncepcje upadku Polski a fakt Odrodzenia (I) . . . . . 442
**S. Lewitan:** Polityka i charakter . . . . . 457
**Jaromir Ochęduszko:** Stosunki polsko - niemieckie (II) 471
**Kazimierz Wyka:** Andrzej Maurois czyli trwałość relatywizmu . . . . . 480
**Henryk Kleist:** Książę Homburgu (III). Przełożył **Jan Sztaudynger** . . . . . 489
**Wassan - Girej Dżabagi:** Mongolja i konflikty na Dalekim Wschodzie . . . . . 510
**KSIĄŻKI: Stanisław Rogowski:** Panny leśne. — **Tadeusz Hollender:** Czas, który minął. — **Maciej Freudman:** Koncert **(Stefan Napierski). — Wacław Borowy:** Dziś i wczoraj **(Ludwik Fryde). — August Grodzicki:** Źródła historyczne „Popiołów" Żeromskiego **(Alfred Fei)** 524

CENA NUMERU ZŁ. 2.–

# DROGA Nr. 6

Kolekcja
Emila Kornasia




# TRYPTYK ŻAŁOBNY

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

## POGRZEB PIŁSUDSKIEGO

(FRAGMENT POEMATU)

*W borach, do których rzadko myśl fantazji wpadnie,*
*na północy, przy pustych i wielkich jeziorach*
*wysłanych złotym piaskiem w karbowane wzory,*
*gdzie las jodeł ogląda na odbiciu mglistem*
*wysmukłość własną w muszli dwojga nieb kulistych,*
*gdzie jagody w gęstwinach splątanych i mrocznych*
*świecą w rosie jak ptaków wyłupane oczy,*
*są wcześniejsze mogiły. Pod drzewem w mchu gęstym*
*wybrzuszony pagórek ledwo tli konturem.*
*Na drzewie krzyż wycięty — wiek go dźwignął w górę.*
*Uklęknij! tego nigdy nawet czas nie spiele:*
*ziarno tutaj zasiane kwitnie pod Wawelem.*

— — — — — — — — — — — — — — — —

*Nie tylko tu... Idź za Dniepr w srebrnej drżący krepie —*
*żar tam spala do smutku ciężar nieba siny,*
*schną pęki traw bronzowych, wiatr ich nie upina*
*tylko prochy kłębami rozrzuca po stepie.*
*Spękana ziemia jęczy pod konia kopytem*
*jakby czaszki szczękały z jej głębin dobyte.*
*Koń staje, drży pod skórą. Pianę zrzuca w strzępach,*
*nogi zbiera, iść nie chce. Wreszcie staje dęba,*
*wykręca się w powietrzu, parska i łbem miota...*
*Czyżby krew świeżą poczuł w wyrwach i zakrotach?*

*Złąkł się kopca. Tuż obok w przezroczystej głębi*
*ktoś nagie szczęki stepu kopcami nazębił.*
*Ten garbaty pas śmierci pokrył cement ziemi*
*ogniwami startemi i bezimiennemi*
*od Zbaraża pod Kudak, z Kudaku pod Rostów.*
*Rosły grzbietami gliny na błękicie ostów,*
*dziś nikną; za lat tysiąc nie będzie i śladu.*
*Raz mocniej poczerniały, z ziemi się wyryły,*
*gdy grzmot armat je dźwignął rzucony o Kijów.*
*Grzmot ucichł, wiatr wygrzany uśpił małe kopce.*
*Tak klamrą nieszczepioną giną w dróg popiele,*
*starte na progach Krymu — kute pod Wawelem.*
*Kto dziś znowu podejmie opuszczone dzieło?*
Perturbata sunt ossa nostra Deus meus!

— — — — — — — — — — — — — — — —

*Co onegdaj świeciło, zadrżało i zgasło.*
*Niedawno jeszcze serca zabiły na hasło,*
*wracali z pod splątanych ljan, z nad gorzkich śniegów,*
*znacząc zmarłych milczeniem szlaki swego biegu.*
*Dziś jeszcze, kędykolwiek wiatr cię losów rzuci —*
*choćby w sedno pustkowia, w samą treść odludzi,*
*każdy przemówi zagon, zmieniony na cmentarz,*
*zczerniałą wargą ziemi do krwi aż rozciętą,*
*że pochód ów trwał długo z wszystkich mórz i lądów.*
*Aż wyda się kulisty glob oceanem krwawym,*
*falami serc bijącym o stok stromy — Wawel.*

— — — — — — — — — — — — — — — —

**STANISŁAW ROGOWSKI**

## M I T

*gdy grenadjerom rzedły kroki w czuwaniu nad nocą*
*i długo w znużonych oczach kołował sen o szpadzie*
*dlaczego wtedy historjo nie mogłaś odpocząć*
*i patetycznym traktem grzmieć w brawurowej paradzie*

*pędził czas — miot kul darł i wyprężał ciała*
*i krzyż na zoranych polach raz po raz się czernił*
*ale szli szeregami przed siebie grenadjerzy wierni*
*w niepotrzebnych i za dalekich chwałach*

*pędził czas — blakły oczy od słońc i pocisków*
*ojczyzna kwitła coraz słodziej pod strzępem sztandarów*
*i dlaczego wtedy historjo gdy było tak blisko*
*nie kazałaś zagłuszyć huku salw triumfalnem larum*

*pędził czas — w wypłowiały mundur zamknięte wspomnienie*
*napróżno o dni twarde dobijało się rzewną nutą*
*i nie wolno było pomyśleć że to właśnie jutro —*
*bardziej niż kiedykolwiek — zapachnie wawrzynowy wieniec*

*aż grenadjerom którejś nocy — gdy znużone powieki sen kleił*
*powiedziano, że umarł — żeś tej nocy historjo umarła*
*a oni — surowe twarze i w oczach wizerunki armat*
*i niewstrzymany pochód za śladem budowanych przez ciebie nadziei*

*jakto? w wiosenną noc? w czas legend i w czas snów o szpadzie?*
*— krótko salutowany honor przed mitem się prężył —*
*a nim owa legenda nad głowami naszemi zacięży*
*pójdziesz z grenadjerami historjo nieskończonym nigdy marszem w paradzie...*

**TEODOR POBÓG**

## ROZMOWA NA ROSSIE

*Z tkliwego czarnoziemu,*
*co mnie snem zmorzyć nie mógł,*
*z gęstych pszczelnych wonności,*
*ze zbutwiałych brokatów*
*jak relikwie podjęli*
*garść mych włosów, garść kości*
*i niemotę ich bieli*
*przygnietli wrzawą kwiatów.*

*Wśród pól gwiaździstą nocą*
*ciężkie koła turkocą;*
*chłop litewski przy drodze*
*żegna się pokryjomu.*
*Gdzie znów, żywa, odchodzę?*

*— O świcie będziesz w domu.*

*Odpoczynku mi nie żal —*
*śmierć żywotem rozgrzewa:*
*tryska ku mnie z kolein*
*krew dawnego przymierza;*

*zielenią płoną drzewa,*
*niby znicze nadziei.*
*Gdzie mnie, ludzie, wieziecie?*
*Na jakim jestem świecie?*

*— Tu się Polska zaczyna:*
*Będziesz znów miała syna.*

*Węzeł dróg czaszkę objął*
*lat dziecięcych melodją*
*i sny z oczu mi płoszy,*
*jak pacierz za pięć groszy,*
*i wędruję po niebie*
*obłokami wielkiemi.*
*Już dwubarwne szlabany:*
*od siebie, ze swej ziemi*
*wracam znowu do siebie.*
*Gdzieżeś, synu kochany?*
*Tak za wami tęskniłam...*

*— To Polska, matko miła,*
*a cmentarzyszcze moje,*
*moja dziedzina sławna.*
*Otom znowu przy tobie,*
*choć nie cały w tym grobie —*
*rozdzielony na troje,*
*jak ten kraj do niedawna.*
*Śmierci, matko jedyna,*
*pocałować się dałem,*
*żebyś znów miała syna,*
*żebym znów był twem ciałem.*

*— Witaj, synu najmilszy!*
*Czemu Wilno tak milczy?*
*Toż dziś dzionek wesela,*
*toż majowa niedziela*
*słońcem igra po brukach:*
*czemu wileńskie gmachy*
*na żałobnej dziś warcie?*

*Co to przy mnie tak stuka*
*miłosiernie, uparcie*
*o grube srebrne blachy,*
*niby Piotrowe klucze?*

*— To ja, matko jedyna,*
*toż to serce najczulsze,*
*serce twojego syna.*
*Myślałaś, że to słowik*
*z dna nocy piosnkę łowi,*
*niby sznur pereł czystych?*

*Lub że to krok żołnierza*
*po nocy się rozlega?*

*— Nie, synu: to jest zegar,*
*co rytmem wiekuistym*
*młodość Polski odmierza.*

*Cóż to wkoło za łuna,*
*jak pożar od pioruna?*
*Może dostatki lata*
*gdzieś na rżyskach ubogich*
*płoną? Ogień tak hula...*
*Może to nasze stogi*
*płoną wokół domostwa?*

*— To błyszczy twoja szata;*
*to płaszcz, co cię otula —*
*moja miłość synowska.*

*Blask zalewa mi głowę*
*i źrenice nieczułe,*
*wypłakane żałobą:*
*to Kościół Polski Nowej*
*nade mną i nad tobą*
*złotą rozpiął kopułę!*

*Ale czemu nas tłoczy*
*blok czarnego granitu?*
*Nie ujrzą ślepe oczy*
*ni księżyca, ni świtu?*
*Jeno snów ciągle jawa,*
*na którą niema rady,*
*sycona winem starem*
*przyniesionem na Dziady...*

*— Matko, to moja sława*
*miażdży nas swym ciężarem.*

*— Nie, synu! Wicher wieje...*
*To obłok, rumak Boży,*
*czarnym grzbietem się sroży!*
*Choć kamienia ma postać,*
*do lotu, chybki, rwie się:*
*oboje nas zaniesie*
*w wieczność, w mit, w epopeę!*

*— Lepiej w Polsce pozostać,*
*w Polsce z najpierwszych baśni*
*zasnąć — i ty też zaśnij.*

*Lepiej w Polsce pozostać...*

OLGIERD GÓRKA

# KONCEPCJE UPADKU POLSKI A FAKT ODRODZENIA

Dla wpływu koncepcyj historycznych na szersze koła danego narodu ostatecznie decydujący staje się fakt dotarcia, czy wtargnięcia ich w twórczość literacką. Każda bowiem naukowa myśl historyczna poczyna spełniać swoją rolę współczynnika w tworzeniu myślenia narodowego właściwie dopiero wówczas, gdy indywidualność artystyczna użyje tych obserwacyj naukowych jako kanwy swej twórczości.

Gdy przed dwudziestoma pięcioma laty po raz pierwszy referowałem pewne rezultaty swych badań historycznych na posiedzeniu krakowskiej Akademji Umiejętności, wzruszała mnie głęboko i przejmowała świadomość możności dorzucenia chociażby maleńkiej cegiełki do gmachu polskiej wiedzy. Dzisiaj, gdy jako człowiek starszy lepiej rozumiem czynniki, które faktycznie myśl polską budują i na nią wpływają, wzruszać mnie musi fakt przemawiania na terenie Akademji Literatury, a więc instytucji, która właśnie skupia ludzi wpływających na duszę polską silniej od nauki, a nieraz wręcz władających myśleniem tej polskiej duszy. Już na dwa lata przed rozpętaniem się ostatniej burzy polemicznej na tle mych poglądów o histo-

---

Odczyt wygłoszony dnia 20 marca 1936 r. w Polskiej Akademji Literatury. Tekst odczytu podaję poniżej bez zmian, a tylko z uzupełnieniem w odsyłaczach pewnemi uwagami autora. Za sprawozdania — w pewnych wypadkach zupełnie nieścisłe — z powyższego odczytu, oczywiście, odpowiadać nie mogę, jak też nie mogę uwzględniać polemik z mojemi rzekomemi poglądami, niejednokrotnie poprostu nie wypowiedzianemi. Powyższy odczyt w Polskiej Akademji Literatury z konieczności powtarza (w pewnych momentach zarówno dowodzenia, jak krytyki stanowisk przeciwnych) mój referat na VI Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Wilnie p. t. **Optymizm i pesymizm w historjografji polskiej. Odwrócenie pojęć,** wygłoszony 18.IX.1935, a wydrukowany w II tomie **Pamiętnika VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Wilnie** (Lwów, 1936), oraz jako oddzielna odbitka pod tym samym tytułem.

ryczności sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem* zwróciłem uwagę w swej rozprawce p. t. *Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na południowym wschodzie* na znamienny fakt naszego życia umysłowego, mianowicie: że jedno genjalne pióro literackie znaczy w myśleniu narodowem więcej, niż setki tomów rozpraw, bogatych w źródłowe odsyłacze. Zrozumiałe więc jest, że historyk, pragnąc poza czy przez rewizję faktów historycznych dotrzeć do polskiego myślenia narodowego, musi ze szczególnem przejęciem życzyć sobie samemu, by dotrzeć do myślenia świata literackiego.

Porwałem się w krótkim wykładzie na przeglądowy szkic największego zagadnienia polskiej literatury historycznej, a mianowicie omówienia zagadnienia przyczyn upadku Państwa Polskiego. Założeniem odczytu musi być chęć uchwycenia myśli zasadniczej, bez przeciążenia i zbytniej rozbudowy tematu; tymczasem przed oczyma autora tych słów staje niemal sto tytułów prac, właściwie bezpośrednio temu zagadnieniu poświęconych, przytem niektóre z tych prac idą w szeregi tomów. Gdy bowiem przystępujemy do omówienia zagadnienia, przemawiać do nas musi równocześnie cała bibljoteka poglądów — od czasów, gdy jeszcze dawne Państwo Polskie istniało, aż po lata ostatnie. Poglądy te rozbijają się na rozmaite kierunki, bądź też zlewają się w szeregi najrozmaitszych poglądów polskich i obcych, zbieżnych w pewnych punktach — tak że niech nikogo nie zdziwi, że literatura przedmiotu wykazuje nawet w swym spisie głęboko przemyślaną pracę prof. T. Brzeskiego o samej tylko metodzie badania przyczyn upadku Polski. Jasne więc być musi dla każdego, że ten ogrom i rozpiętość kwestji wręcz onieśmiela referenta swojemi nakazami i zmusza do specjalnego ujmowania całego zagadnienia w ramach naczelnego momentu. Gdy w roku zeszłym na VI Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Wilnie wystąpiłem ze swoim poglądem i tezami o upadku i odrodzeniu Państwa Polskiego, poprzedziłem swój referat obszernym przeglądem treści, wydrukowanym w I tomie *Pamiętnika VI Zjazdu*, ogłoszonym przed zjazdem, w którym to przeglądzie kwestji próbowałem niejako uprzedzić słuchaczy, jaką rozpiętość spraw trzeba razem i równocześnie objąć w swych rozważaniach, by poruszyć tylko jedną stronę tego zagadnienia, to jest t. zw. optymizmu i pesymizmu w naszej historjografji. Obecnie zadanie moje jest jeszcze trudniejsze, mam obowiązek jeszcze większego skondensowania myśli i jeszcze ściślejszego uwypuklenia samego tylko procesu rozumowania, niż byłem do tego obowiązany w czasie przemówienia na zjeździe.

Niech więc będzie zgóry wytłumaczone i usprawiedliwione, że nie podaję na tem miejscu jakiegoś zarysu przebiegu i zmian wszystkich koncepcyj i zapatrywań na przyczyny upadku Polski, które to dzieje myśli trzebaby na terenie historycznym zaczynać od historjografji czasów Stanisława Augusta, a na terenie literackim wcześniej nawet niż od Woronicza. Samo wyliczenie

tytułów musiałoby zająć kilka stronic i nie dałoby żadnego wglądu w rozwój i przemiany myśli polskiej i obcej na powyższy temat. Dlatego ograniczam się jedynie do zaznaczenia bibljograficznego, że po r. 1888 najpełniejszy przegląd, ale tylko strony historycznej zagadnienia, daje jednak praca historyka obcego, Rosjanina M. Karejewa p. t. *Upadek Polski w literaturze historycznej,* i to mimo krytyki, z którą się spotkała. Dla okresów dalszych po początek r. 1918 zbiera poglądy i literaturę w tej sprawie wspólnie wydana ankieta polskich historyków na ten temat p. t. *Przyczyny upadku Polski. Odczyty,* zwłaszcza w artykułach F. Papéego i I. Chrzanowskiego. Dla późniejszych, nielicznych zresztą przejawów debat na ten temat już w Odrodzonej Polsce takiego przeglądu poglądów na to zagadnienie nie mamy. Materjałów dla rozwoju debat i myślenia trzeba szukać w pracach St. Zakrzewskiego *(Ideologja ustrojowa),* Kochanowskiego, Konopczyńskiego, Smoleńskiego, Brzeskiego. oraz w IV wydaniu *Dziejów Polski* Bobrzyńskiego i jego powojennych artykułach. Oczywiście, sama żywotność i waga tego zagadnienia sprawia, że każde niemal poważniejsze czasopismo polskie, nawet w okresie ostatniego ćwierćwiecza, zawiera dane i przyczynki nieraz bardzo wybitnych umysłów, modulujące w ten czy inny sposób poglądy na powyższą sprawę. Tak samo omówienie zagadnienia upadku Polski występuje automatycznie we wszystkich opracowaniach, ujmujących całokształt dziejów polskich, a pojawiających się w języku polskim i obcych w ostatniem ćwierćwieczu. Bez przesady możnaby dzisiaj wydać już specjalną bibljografję literatury tego zagadnienia. Ostatni etap sprawy i sporów na ten temat przynosi pierwszy i drugi tom *Pamiętnika VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Wilnie* (Lwów, 1935/1936) z mym referatem p. t. *Optymizm i pesymizm w historjografji polskiej. Odwrócenie pojęć* (również odb. Lwów, 1936), oraz z dyskusją po referacie, która znalazła zresztą swe odgłosy zarówno w prasie codziennej, jak i w czasopismach.

Powyższemi krótkiemi wskazaniami bibljograficznemi pozwalam sobie zastąpić przegląd autorów i dzieł, gdyż w wymienionych pracach — *mutatis mutandis* — znajdziemy komplet danych bibljograficznych dla kwestji, która jako zagadnienie naukowe liczy już ponad lat sto pięćdziesiąt. Odżywa ono co pewien czas nowym płomieniem walk polemicznych i poglądów, a zapewne jeszcze nieraz powróci na porządek dzienny walk intelektualnych. Na tym to wielkim terenie lat stu pięćdziesięciu, który jest dla mnie jednocześnie okresem 150-letniego odradzania się polskiego charakteru narodowego z przepastnych nizin upadku w w. XVIII, krzyżowały się setki poglądów, zwalczały dziesiątki koncepcyj obcych i własnych, przyczem myśli, które niejednokrotnie zdawały się być bezpowrotnie pogrzebane, odżywały na nowo po dziesięcioleciach, przemawiając niejednokrotnie ponownie, a ze wzmożoną siłą i zdolnością przekonywania.

W żadnej bowiem może dziedzinie tego wszystkiego, co jest Polską, nie przejawiła się tak dobitnie bezpośrednia kontynuacja i integralna łączność dawnej i obecnej Rzeczypospolitej Polskiej, jak właśnie w tej walce o sąd nad przyczynami upadku Polski. Nie zmienił się w tej walce ani jeden element składowy przez lat sto pięćdziesiąt, nie odpadł ani jeden motyw polityczny wpływania w ten lub wręcz przeciwny sposób na opinję polską — przedewszystkiem dlatego, że *zagadnienie upadku Polski* nieprzerwanie od czasów literatury Konfederacji Barskiej po dzień dzisiejszy *było stale zagadnieniem szukania drogi dla zdrowia politycznego myślenia narodu polskiego*. Nie waham się nawet posunąć tak daleko w swej ocenie wagi tej sprawy, by twierdzić, że zdrowe myślenie polityczne narodu polskiego nie zależy od żadnej innej teoretycznej kwestji tak silnie i bezpośrednio, jak od bezwzględnie uczciwego a przekonywującego rozwiązania zagadnienia upadku dawnej Rzeczypospolitej.

Gdy w r. 1790, w przededniu Konstytucji 3 Maja, Hugo Kołłątaj rozpoczął polemikę historyczną na temat upadku Polski z najbardziej podówczas głośnym i podziwianym patrjotą polskim, pierwszą ofiarą kibitek rosyjskich, Sewerynem Rzewuskim, który był — jak wiadomo — właściwym duchem twórczym i inicjatorem Konfederacji Targowickiej, — rzucił wówczas temuż Rzewuskiemu słowa: „Znalazłem (scil. u Rzewuskiego) śmiałe do historji odwołanie, bez żadnych historycznych dowodów". Te słowa Kołłątaja z r. 1790 stanowią właściwie istotę tej gwałtownej nieraz krytyki, którą cisnąłem zwolennikom koncepcji askenazowsko-balzerowskiej na Zjeździe Historycznym w r. 1935, nie wahając się w stosunku do dwóch największych powag naszej historjografji rzucić zarzut, że poglądy ich są „bez żadnych historycznych dowodów". Powód tej nieuchronnej łączności zagadnienia upadku Polski z fluktuacjami nietylko myśli polskiej, ale poszczególnych sytuacyj politycznych, jest bardzo prosty. Żaden naród na kuli ziemskiej nie ma tak jasnej wymowy swej historji, jak naród polski, i dlatego właśnie w żadnym narodzie tak jak w polskim niema tej z ciągłym wysiłkiem, a niezaprzeczenie w dobrej zresztą wierze i intencji prowadzonej pracy, by tę oczywistą a przerażającą prawdę przekształcić, przykryć płaszczykiem miłych i chwytających ogół argumentów, a temsamem do bieżących celów dostosować.

Wiem o tem i publicznie stwierdziłem na Zjeździe Historyków w Wilnie, że w tej walce o wychowanie prawdą dziejową i drogą nieosłanianej krytyki przeszłości nie mogę liczyć na poklask czy łatwe uznanie. Nie jestem w tym wypadku ani pierwszym ani ostatnim ani w narodzie polskim, ani we wszystkich innych narodach świata [1]). Szeroki ogół ludzki chce kłam-

[1]) Dla zwartości wykładu nie przytaczam tych dziesiątków przykładów, jak wygląda w poszczególnych narodach ta walka o wychowywanie narodu przez prawdę, nie zaś przez piękno kłamstwa. Wystarczy bowiem tylko przypomnieć zaciekłą walkę

stwa i kocha je, zwłaszcza kłamstwo historycznej ułudy. Historyczna ułuda daje zresztą najłatwiejsze pole dla rozwoju piękna literackiego, gdyż prawda historyczna wymaga tonów trudniejszych, domaga się tragizmu, a tragizm z natury rzeczy jest artystycznie trudniejszy [2]).

Jest to zresztą nieśmiertelny problem umysłu ludzkiego: sentyment masy zawsze będzie trudno dostępny dla logicznego i o prawdę opartego rozumowania i zawsze będzie się skłaniał w stronę tych, którzy z patosem, szczerze lub nieszczerze, z przekonania lub dla oportunizmu politycznego, bronią piękna ułudy historycznej. Od czasów Arystotelesa obowiązuje wskazanie, że prawo czy ta teoretyczna racja nie godzi się z patetycznością zmyślonej ułudy, podczas gdy właśnie dusza ludzka domaga się tego „patetikon". Jeszcze zaś bardziej od innych domaga się tego głaskającego próżność „patetikon" dusza polskiej większości, gotowa oklaskać i przyjąć z zachwytem nawet największe absurdy i największe nonsensy naukowe, jeśli ich szeroka i przystępna ogółowi wymowa idzie po linjach, odpowiadających odruchowym sentymentom masy. Wszak mamy wszyscy w pamięci okres sławy *Ducha dziejów Polski* A. Chołoniewskiego, o którym najwybitniejsi historycy polscy — bez przytaczania nazwisk — wypisywali całe peany i rozprawy zachwytów, dopóki prof. St. Zakrzewski, niedawno zmarły historyk, nie warknął silnem zdecydowanem słowem: „umyślna ignorancja", a ja rzuciłem potem drukiem dalsze określenie, przeciw któremu nikt nie odważył się zaprotestować, — „absurd!". Ponieważ tezy Chołoniewskiego szły po linjach pewnych tendencyj politycznych, bezdenna ignorancja historyczna, ujęta w końcową tezę poprostu absurdalną, zdobyła sobie na krótki czas olbrzymią większość polskiej opinji i nauki. Dowód ignorancji nie jest potrzebny dla nikogo, kto trochę zna fakty podstawowe historji Polski. Absurdalność zaś tezy Chołoniewskiego polega na twierdzeniu, że Polska upadła dlatego, że „wytworzyła najwyższy idealny typ państwa", wyprzedziła świat i t. d. Wynikałoby z tego, że prawodawca, który wprowadza dobre ustawy, wyprzedzające

---

dzisiejszego „ojca narodu" czeskiego, Prezydenta Tomasza Massaryka, z pewnemi małościami duszy swych rodaków drogą niszczenia fikcyj i fałszerstw historycznych i literackich. Lat pięćdziesiąt temu nie było w Czechach dość silnych wyzwisk zdrady, pracy herostratowskiej, zwykłego w tych wypadkach przemianowania go na Żyda („Macessaryka"!), bojkotu towarzyskiego, zwalczania przez czeskich profesorów, niedopuszczania do zwyczajnej katedry i t. d. za to, że Massaryk odważył się głosić hasła prawdy dziejowej i wychowywania myślenia narodowego prawdą, a nie pięknemi fikcyjnemi kłamstwami.

[2]) Najlepszą ilustracją tych trudności artystycznych jest fakt braku szerszej poczytności dla artystycznych ujęć prawdy batorjańskiej, jak też mniejszego wzięcia **Potopu** Sienkiewicza, który ma już tony ogólno-tragiczne. **Ogniem i mieczem** zna jeszcze tylko tragizmy osobiste, oderwana bowiem scena pod krzyżem Wiśniowieckiego jest już późniejszą koncesją autora, który począł sobie uświadamiać pójście fałszywą, zbyt łatwą drogą w stosunku do prawdy historycznej.

postęp świata, gubi swe państwo, a ten, który wprowadza w życie idjotyzmy i zacofania — utrwala jego egzystencję; chory więc, który się leczy, jest samobójcą i t. d. i t. d. To były te konsekwencje, które, zrodziwszy się z inspiracji Balzera, ale tego Balzera, który sam zaprzeczył wszystkim swoim wieloletnim wywodom, znalazły swego czasu najgorętsze przyjęcie w szerokiej opinji z wszystkich wogóle koncepcyj upadku Polski.

Przykład z poglądami Chołoniewskiego przytoczyłem jedynie dla charakterystyki tych psychicznych tendencyj, które przeważają w zamiłowaniach szerokiego polskiego ogółu, gdyż nie chciałbym potem *Ducha dziejów Polski* mieszać, czy uwzględniać przy poważnych wywodach. Przykład ten miał tylko zilustrować, jak łatwo o szeroki poklask i podziw za cenę ignorancji i absurdu, jak natomiast, z natury rzeczy, łatwe są do przewidzenia te przykrości, które muszą spotkać każdego, kto próbuje doprowadzić, zwłaszcza do szerokiego myślenia polskiego, ziarna logicznej i metodycznej prawdy. Bardziej od innych, chociażby na tle obserwowania walk toczonych w historjografji polskiej, mam świadomość, jak łatwo zdobyć szeroki poklask i uznanie. Niestety: mam równocześnie świadomość, że tą drogą historykowi, zwłaszcza polskiemu, o aprobatę ubiegać się nie godzi.

Skoro jednak ostatecznym celem pracy polskiego historyka jest sięgnięcie po wpływ na polskie narodowe myślenie, to przy znajomości tych wyżej podanych cech psychicznych większości masy polskiej konieczne było rozpoczęcie pracy od wyobrażeń o przeszłości przed przystąpieniem do rewizji pojęć syntetycznych. Ogół bowiem myśli, czy — powiedzmy psychologicznie nieściśle — odczuwa przedewszystkiem stroną wyobrażeniową, a bardzo tylko nieliczna grupa jednostek jest wogóle zdolna do myślenia pojęciami, chociaż wszyscy szermują terminami z zakresu pojęć. Dlatego też przed przystąpieniem do tego, o czem obecnie mam mówić, t. j. o logice i pojęciach, musiałem, chcąc być zrozumianym, najpierw zaatakować wyobrażenia o naszej przeszłości w dobie upadku, a zarazem obalić pewne błędne podstawy dotychczasowych metod historycznych. „Odwracanie“ więc „obrazu“ XVII w., czyli odwracanie wyobrażeń o polskiej przeszłości, wysnutych z powieści, musiało wyprzedzić odwracanie pojęć optymizmu i pesymizmu w naszej historjografji, a bunt metody naukowej musiał wyprzedzić bunt logiki przeciwko obowiązującym niemal koncepcjom upadku byłej Rzeczypospolitej. Metodą znaną aż zbyt dobrze zachodniej historjografji wykazałem przedewszystkiem tę niedopuszczalność uświęconych fikcyj wojskowych, by zbuntowany ataman kozacki hulający na pustkowiach XVII w. wyprowadzał — jak się jeszcze przed dwoma laty przyjmowało w nauce polskiej — wojska większe niż armja Napoleona w r. 1812. Błąkały się po naszej historjografji patrole przeciwników w siłach, na któreby dzisiaj nie mogła sobie pozwolić cała połączona Europa, a hetman Koniecpolski lub król Jan Sobieski poko-

nywali rzekomo, według danych naszej historjografji, wojska budziackie... 3—4-krotnie większe, niż liczba wszystkich Tatarów budziackich wogóle. Błąkały się po naszej historjografji fikcje tak nieprawdopodobne, że trudno zrozumieć, dlaczego wcześniej nie zbuntowała się logika naukowa przeciw tym niemożliwościom, których zresztą po dziś dzień nauczamy w naszych szkołach.

Ten bunt metody naukowej, dostosowanej do doświadczeń nauki europejskiej, prowadził do rewizji naszych dziejów — jak mi to zarzucono — *in minus*, czyli do pomniejszania tej fikcyjnej przeszłości polskiej XVII w. Wobec obowiązywania zupełnie fałszywych koncepcyj syntetycznych nie chciano zrozumieć, że ta właśnie rewizja *in minus*, ale tylko wobec fikcyj historjograficznych, nie zaś wobec rzeczywistości dziejowej, była dla mej syntetycznej logiki dziejów Polski racjonalistycznem pocieszeniem, racjonalistycznem „krzepieniem" nie serc, ale umysłów polskich, chociaż była oczywiście dla mnie samego, jak dla każdego Polaka wogóle, bolesną przykrością. Ten bunt metody naukowej przeciwko fikcjom, wynikłym z braku umiejętności badania i posługiwania się właściwemi źródłami — który zresztą już dziś w historjografji naszej, sądząc po pracach ostatnich, bezwzględnie i na całej linji zwyciężył — musiał wyprzedzić w kolei rzeczy następny bunt logiki przeciw rozpowszechnionej syntezie naszego upadku. Walka zaś nie była łatwa, gdyż ta najbardziej rozpowszechniona czy przyjęta synteza naszych dziejów, która niejako obowiązywała w historjografji, zwłaszcza naszych ostatnich lat dwudziestu czy trzydziestu, była sygnowana dwoma aż tak wielkiemi nazwiskami naukowemi, jak Askenazy i Balzer!

Na powyższych poglądach syntetycznych chciałbym skoncentrować wagę moich obecnych wywodów, gdyż niewątpliwie wszystkich czytelników najwięcej interesować muszą zapatrywania naszej historjografji ostatnich lat trzydziestu. Niech mi więc będzie wolno na tem miejscu, z pomiędzy wszystkich koncepcyj upadku Polski, położyć nacisk właśnie na tę ostatnią dominującą koncepcję askenazowsko-balzerowską, a w związku z innemi dawniejszemi kwestjami ograniczyć się tylko do ogólnego zaznaczania. W całej bowiem poprzedniej literaturze historycznej i w tych rozlicznych koncepcjach przyczyn upadku Polski napotykamy całe dziesiątki motywów i obserwacyj, które swego czasu odgrywały w debatach naukowych i politycznych rolę naczelną, ale dzisiaj wchodzą w rachubę już tylko całkiem ubocznie. Z natury rzeczy rozważania na temat przyczyn upadku Polski poczęły się z biegiem czasu coraz bardziej zacieśniać. Odpadały coraz bardziej takie elementy rozważań, jak „coby było, gdyby było", t. j. jakie państwo idealne można było z dawnej Polski zrobić lub nie, a spór zacieśniał się coraz bardziej koło sprawy, którą prof. Balzer ujął w termin *causa efficiens*, t. j. przyczyny rozstrzygającej, decydującej. Dla przejrzystości nie wchodzę w rozbiory i dygresje

filozoficzne. Wystarczy bowiem skonstatować, że obecnie, czy w ostatniem trzydziestoleciu, cała dyskusja obraca się właśnie dokoła wyznaczenia tej *causa efficiens,* t. j. do wyszczególnienia, do wymienienia na pierwszem miejscu tego faktu, względnie stanu, który zmienia drugie jestestwo bez tracenia swej istoty. Celem więc rozważań jest wyznaczenie tej stałej, naczelnej przyczyny, której brak uniemożliwia czy uniemożliwiał powstanie skutku. Nie chodzi więc w tej obecnej, tak zacieśnionej, dyskusji o przyczynach upadku Polski o zebranie *wszystkich momentów, które mogły grać rolę* w upadku dawnej Rzeczypospolitej, ale o wyznaczenie tego *naczelnego, decydującego stanowiska* jednemu faktowi — oczywiście z tem, że koło tej rozstrzygającej przyczyny grupują się wszystkie inne. Jasnem więc będzie, że jeśli w ostatecznym sporze powstanie zagadnienie, czy *causa efficiens,* tą przyczyną rozstrzygającą o upadku, byli Polacy jako tacy, czyli my sami, czy dla odmiany — sąsiedzi i warunki, to z tego nie wynika, że przyjąwszy winę własną, pomijamy wogóle warunki. Wyznaczamy im tylko rolę podrzędną. Dla odmiany zaś, przyjmując winę sąsiadów i warunków, jak Askenazy i Balzer, nikt nie odrzuca w zasadzie sprawy stanu społeczeństwa polskiego, ale wyznacza temu społeczeństwu w tej decydującej chwili rolę podrzędną, pochodną. Istota więc sporu obraca się już dziś, t. j. w ostatnich trzydziestu latach, nie koło kompleksu wszystkich przyczyn, lecz koło wyznaczenia tego czynnika upadku Polski, który musiałby być zmieniony ongi w naszej przeszłości XVIII, czy jeszcze XVII w., by fakt upadku nie miał miejsca.

Powyższe ujęcie „przyczyn" zacieśnia nam, oczywiście, punkt zasadniczy i sporny sprawy i tak też to zagadnienie wygląda w literaturze ostatnich lat trzydziestu. Z natury rzeczy opinje rozbijają się między tych historyków, którzy uznali za decydujący, t. j. *efficiens,* czynnik zwany „sąsiedzi i warunki", a opanowali ostatnio naszą historjografję i myślenie historyczne, oraz tych, doniedawna niemal nieistniejących, którzy uważają za *efficiens* stan dawnego szlacheckiego narodu polskiego. Nie dajmy się przytem sprowadzić z właściwej drogi filozoficznem kauzyperdowstwem i powoływaniem się na wyłącznie poznawczą rolę historji i t. d. Rację mają tylko ujęcia proste i jasne; o argumentację okrężną, przeładowaną ogólnikami i zastrzeżeniami, zawsze w każdej sprawie naukowej bardzo łatwo. W tym wypadku nietylko każdy uczony, ale każdy Polak wogóle musi sam przed sobą rozstrzygnąć: albo „sąsiedzi i warunki", albo „my sami". Ostrzegam zaś przed tem dialektycznem pieniaczeniem naukowem, właśnie dlatego, że przeciwnicy poglądu „z winy własnej", widząc zupełną bezpodstawność naukową poglądu „z winy sąsiadów i warunków", będą niewątpliwie unikali dla celów ubocznych, publicystyczno-oportunistycznych, jasnego rozstrzygnięcia i wypowiedzenia się w sprawie przyczyn upadku. Są to niemal odruchowe i w dobrej woli czynione zabiegi, by do mózgów polskich nie dopuścić prostej i niewątpliwej wy-

mowy faktów naszej przeszłości — poprostu dlatego, że ta wymowa naszej przeszłości jest dla pewnych kierunków naszego myślenia narodowego niesłychanie przykrą, politycznie niewygodna [3]), by nie powiedzieć wprost, jak ja to odczuwam, druzgocąca.

Przed omówieniem samej istoty sprawy upadku byłej Rzeczypospolitej, już w tem zacieśnionem ujęciu i na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, chciałbym jeszcze nawiasem wspomnieć również o innych, dawniejszych stronach tego zagadnienia, które bądź to wypadły, bądź wypaść muszą z obecnej dyskusji. Wyłączam z tej dyskusji bezustannie odżywającą od czasów Woronicza myśl o ukaraniu Polski za grzechy, gdyż nie bardzo da się ten pogląd pogodzić z dozgonnym sukcesem osobistym i państwowym moralności Katarzyny II i słowności politycznej Fryderyka II, czy Prus wieku XVIII. Tego rodzaju sposobów ujmowania sądów, nie powinno się — mojem zdaniem — wogóle włączać do debat naukowych. Odpadły tak samo w zasadzie dla dzisiejszego stanu sporu te wszystkie cząstkowe momenty, które stanowiły główne jądro rozpraw obcych, a więc Raumera, Sybla, Smitta, Arnetha, Sołowiewa, Karejewa i t. d., oraz polskich polemik około wywodów Kalinki, Korzona, Askenazego i t. d., na tematy, kto jest większym, czy bardziej bezpośrednim winowajcą upadku Polski — a więc Rosja, czy Prusy, względnie nawet Austrja. Dziś wszystkie te zagadnienia i spory, którym dziesiątki tomów rozpraw i artykułów poświęcano, wchodzić mogą w grę tylko jako cząstki składowe zasadniczego pytania, czy rzeczywiście „sąsiedzi i warunki" były *causa efficiens*.

Wyłączyć również należy z debat moment, czy też zagadnienie, ludności chłopskiej — w przeciwstawieniu do sprawy stanu naszego ówczesnego mieszczaństwa, którego sytuacja była, mojem zdaniem, jednym z decydujących momentów sprawy. Kwestja chłopska, o której poprzednio — począwszy od głośnego powiedzenia Staszica — bezustannie stwierdzano, że była zasadni-

---

[3]) Szereg względów politycznych sprawiał, że debata o przyczynach upadku Polski nie mogła być nigdy przed powstaniem Polski Odrodzonej prowadzona z całą bezwzględną szczerością i z dopowiedzeniem konsekwencyj do samego spodu. Nawet umysł takiej odwagi, jak M. Bobrzyńskiego, dopiero w wydaniu z r. 1927 odważył się na wypowiedzenie pod adresem przeciwników szkoły krakowskiej, a w szczególności prof. Konopczyńskiego, uwagi, która się automatycznie musi każdemu na myśl nasuwać: „Wylała się w powiedzeniu tem" (scil. o zmorze szkoły krakowskiej) „żółć historyka" (scil. Wł. Konopczyńskiego), „który dla polityki nacjonalistycznej w historji naszej nie może znaleźć podstawy" (**Dzieje Polski w zarysie**, t. II, str. 322). Nie chciałbym oczywiście sprowadzać mych rozważań na tory sporów politycznych i bieżących kierunków naszego życia. Jasne jednak jest dla każdego, że w tej walce historycznej wnioski naukowe muszą znajdować swoje echo w założeniach politycznych, wobec czego bezwzględne odsłanianie prawdy o przeszłości polskiej jest dla pewnych typów argumentowania politycznego rzeczą bardzo niewygodną.

czym powodem upadku Polski, straciła już zupełnie na znaczeniu w tej dyskusji. Bardzo już wcześnie bowiem podnieśli historycy słuszny argument, który się potem raz za razem powtarza w debatach z lat 1918 — 1920 (np. u prof. W. Tokarza), że skoro poddaństwo i ciężary pańszczyźniane nie przeszkodziły rozrastaniu się Prus i Rosji, to nie mogą być zaliczane do przyczyn, które zadecydowały o upadku Polski. Niewątpliwie jednak odmiennie przedstawia się sprawa ze stanem mieszczańskim i dlatego prof. Balzer w dziele *Z zagadnień ustrojowych Polski* (Lwów, 1915) wysilał się bezskutecznie na wykazanie, że stan mieszczaństwa polskiego nie był gorszy, niż w innych krajach — nie chcąc widzieć chociażby takich faktów, że we Francji to mieszczaństwo zgniotło szlachtę, opanowało chłopów i prowadziło wojnę z całą Europą, a jedno pseudopolskie miasto, jak Gdańsk, miało więcej armat, niż cała szlachecka Rzeczpospolita Polska. Zło sytuacji Polski z końcem XVIII w. tkwiło bowiem w tem, że do gruntu zdemoralizowany politycznie „naród szlachecki" miał taką pełnię roli i odpowiedzialności w Polsce, jak nigdzie w Europie ówczesnej.

Wśród obecnych dygresyj, a przed przystąpieniem do kwestji właściwej, chciałbym jeszcze omówić pewien szczegół tych sporów na dowód, że trzeba było dopiero rzeczywistego odrodzenia się Polski, by bezapelacyjnie zrozumieć rzeczywistość upadku. Gdy w r. 1910 słaby zresztą historyk, W. Przyborowski *(Przyczyny upadku Polski)*, wystąpił z tezą, że Polsce w okresie upadku brakowało przedewszystkiem wielkiego człowieka i wodza — to spotkał się ze strony prof. Balzera, niepospolitego uczonego, ale uczonego ulegającego bardziej wpływowi swych materjałów, niż wymowie realnej logiki życia, z gestem skrajnego lekceważenia na temat poglądów, które historję uzależniają od braku wielkiego człowieka. Oczywiście, w r. 1915 nie nasuwało się wogóle prof. Balzerowi na myśl, że genjalna jednostka może wpłynąć na losy swego narodu, niesłusznie bowiem brałby ktoś ten anonimowy strzał prof. Balzera za skierowany pod adresem przyszłego Wielkiego Marszałka. Wielkiemu historykowi ustrojowemu chodziło tylko o gest lekceważenia z wyżyn Olimpu naukowego pod adresem takich nienaukowych na ówczesne czasy pomysłów, jak Przyborowskiego! Dziś po okresie Mussolinich, Kemal-Paszów i t. d. wydaje się nam zapewne bardzo dziwne, że wielki historyk mógł wypowiadać z tak głęboką pewnością siebie podobnie nierealne sądy; a jednak w ten sposób myślała i rozumowała ta historjografja, która musiała się spotkać z uderzeniami sprzeciwu pod wpływem wymowy faktów bieżących. Wtenczas bowiem rozwiązywali historycy wszystkie problemy „dążnościami" czy „koniecznościami dziejowemi", „prawami historycznemi", „linjami rozwojowemi" i t. d. Rzeczywistość tymczasem wykazała, że bardzo początkujący i nienaukowy Walery Przyborowski nieporównanie lepiej rozumiał mechanizm losów i dziejów narodu, niż wielki prof. Balzer, ale dopiero od okresu,

kiedy tenże Balzer z powodów propagandowo-politycznych zaprzeczył całemu swemu dorobkowi historycznemu z okresu do r. 1909, czy aż 1915. Nie wolno bowiem prowadzić nauki za swojemi sympatjami politycznemi. Istnieje raczej obowiązek, by właśnie z historji wyprowadzać swoje sądy i nastawienia psychiczne do bieżącego życia politycznego.

Dlatego niech mi będzie wolno przytoczyć jeszcze pewne charakterystyczne opinje obce dla tej całej sprawy. Nie ulegajmy bowiem nieśmiało wpływowi tych bardzo tanich argumentów, że pogląd taki czy inny pokrywa się ze stanowiskiem historyków wrogich narodowi polskiemu. Sądy obce czy sądy „wrogie" mogą być, równie dobrze jak sądy własne, albo fałszywe albo słuszne. Krytyka nawet uprzedzona i nieżyczliwa może w ręku umiejętnego badacza trafiać w rzeczywiste słabizny danego narodu, a sam sentyment dla własnej przeszłości nie jest jeszcze żadną gwarancją, że dany wywód historyczny ma wogóle grunt i głowę. Obserwacja najrozmaitszych historjografij najrozmaitszych narodów łatwo każdemu udowodni, że sądy słuszne o danym narodzie czy danej sytuacji wypowiadali raz historycy obcy, a raz właśni danego narodu, dochodzenie bowiem do prawdy dziejowej zależy wyłącznie od logiki i metody badania naukowego danego badacza z intencjami podania prawdy, które to objawy mogą występować równie dobrze u swoich jak u obcych. Często jednak te sądy obcych, nawet zdecydowanych wrogów danego narodu, przynoszą bardzo ciekawe niespodzianki! Do najbardziej dzisiaj wśród szerokich mas polskich, w złej wierze czy tendencji, rozpowszechnianych poglądów na upadek byłej Rzeczypospolitej należy sąd, że Polska upadła na tle nieładu swych rządów, mimo męstwa szlachty polskiej, przez lekceważenie niebezpieczeństwa niemieckiego, oraz przy współudziale rozkładowej roli Żydów. Wszystkie elementy wymienionego wyżej sądu znajdują się już od r. 1870 w dobrej nawet i udokumentowanej rozprawie o sejmie grodzieńskim z r. 1793 historyka, którego nazwisko jest właśnie w Warszawie, czy wogóle na ziemiach polskich aż zbyt dobrze znane; brzmi ono — *tout court* — Dymitry Iwanowicz Iłowajski! *Sapienti sat!* Może jednak to nazwisko powstrzyma właśnie jednostki złej woli od atakowania zarzutami „zgodności z wrogami" u tych historyków, którzy walczą o zdrowie polskiego myślenia narodowego, a niekoniecznie mają mentalność Iłowajskiego. Tak samo zwolenników atakowania zarzutem zgodności z sądami obcemi, w tym wypadku już nie wrogiemi, chętnie kieruję do lektury końcowych uwag w *Geschichte Polens* prof. E. Hanischa (Bonn, 1923, str. 351), który logicznie z całej polskiej historjografji, gloryfikującej i usprawiedliwiającej upadek byłej Rzeczypospolitej, wyciąga wniosek, że obecna Polska powinna wykazywać w polityce „rozumne umiarkowanie" i zabiegać o względy swych sąsiadów. Niewątpliwie bowiem z tego wszystkiego, co się u nas nazywa potocznie krzepieniem serc, przy logice rozumowania można wyciąg-

nąć jedynie rozpaczliwy wniosek konieczności podporządkowania się naszym potężnym sąsiadom, by łaskawie nam egzystować pozwolili, i to wtenczas właśnie, gdy my chcemy być potężni. Jedyna odpowiedź na te rady obcych, nieraz nawet życzliwe, leży tylko w fakcie, że bezwzględna, brutalna nawet nieraz prawda o przyczynach upadku byłej Rzeczypospolitej daje Polsce wystarczającą podstawę do dalekosiężnych aspiracyj, oraz do oparcia naszej przyszłości na zaufaniu do własnych sił, a nie do łaskawego kredytu sąsiadów.

Te wstępne dygresje były konieczne, by bez wyczerpania tego przepotężnego przez swój zasięg zagadnienia historycznego uwidocznić niejako przykładowo, jak dalece momenty emocjonalne całego zagadnienia, momenty tak łatwo lgnące do większości serc polskich, są przy logicznym rozbiorze przedewszystkiem „wodą na młyn" tych poglądów, które niewątpliwie dążą ku konsekwencjom dla naszego myślenia w najwyższym stopniu ujemnym. Po tych przykładowych dygresjach przechodzę wskutek konieczności zwartego przedstawienia sprawy *in medias res.*

Podstawowym, kierunkowym trzonem całej dyskusji była i została jeszcze na terenie naukowym znana wszystkim szkoła krakowska, t. j. ściślej mówiąc: trzech niepospolitych, czy genjalnych historyków — Szujski, Kalinka i Bobrzyński, z całą grupą tych, którzy się z nimi solidaryzowali. Szkoła krakowska, jak wiadomo, mimo rozbieżności w najrozmaitszych innych punktach swych poglądów oraz szczegółów formułowania tezy, stanęła na stanowisku, że była Rzeczpospolita upadła z winy własnej, i uzasadniała tę winę niesłusznie, czy niewystarczająco — jak to zaraz na wstępie trzeba zaznaczyć — niemal wyłącznie wadami ustrojowemi byłego Państwa Polskiego. Niewątpliwie szkoła krakowska, zacieśniając się coraz bardziej do zagadnień ustrojowych, była za ciasna w zakresie przez sprowadzenie całego zagadnienia na tory ustrojowe, a za szeroka w czasie, gdyż cofała swe wnioski krytyczne zbyt daleko wgłąb naszych dziejów. Bezpośrednia reakcja wystąpiła w osobie prof. Askenazego, który w najrozmaitszych artykułach dopatrywał się tej przyczyny rozstrzygającej dla upadku Polski w linjach i dążeniach politycznych ówczesnej Europy, a stanowi wewnętrznemu Rzeczypospolitej wyznaczał rolę drugorzędną i pochodną (np. *Wczasy historyczne,* t. II str. 51 i 70). Najbardziej jednak ten sąd o przyczynach upadku Polski rozszerzył się przez wystąpienie prof. Balzera w cytowanej wyżej broszurze *Z zagadnień ustrojowych Polski,* w której (str. 75) — *mutatis mutandis* — ostatecznie ustalił, że „właściwą rozstrzygającą przyczyną upadku naszej państwowości, istotną „causa efficiens" tego zdarzenia jest: pożądliwość złączonych, więc przemożnych, na zgubę Polski sprzysiężonych sąsiadów". Za pogląd ten doczekał się prof. Balzer bardzo charakterystycznego uznania, mianowicie określenia go przez prof.

I. Chrzanowskiego jako skrajnego optymisty w historjografji polskiej, — jakkolwiek sąd ten pozbawia nas wogóle racji bytu państwowego, — podczas gdy Bobrzyński został już przedtem zamianowany przez Liskiego skrajnym pesymistą.

Ponieważ są to sprawy powszechnie w naszym świecie intelektualnym znane, nie będę się nad tem obszerniej rozwodził. Szkołę krakowską od jej pierwszych przejawów określano jako syntezę pesymistyczną, gaszącą ducha, zatruwającą zaufanie w siły narodu polskiego, w możność odrodzenia państwa, a tych wszystkich, którzy przyczynę, a temsamem winę upadku, przerzucili na warunki względnie sąsiadów, nazwano — z mego przynajmniej stanowiska wręcz opacznie, czy naodwrót — optymistami! Tego rodzaju dwa określenia optymizmu i pesymizmu zaciążyły *najfatalniej* nad całą historjografją polską ostatniego półwiecza, a szczególnie ostatnich lat dwudziestu, w konsekwencji zaś na myśleniu polskiem do chwil ostatnich [4]). Zaciążyły zaś fatalnie te terminy nietylko na syntetykach, ale również na monografistach historycznych, nikt bowiem nie chciał być pesymistą, wszyscy chcieli być oczywiście optymistami. To też każdy z historyków przez nakaz wewnętrzny tego rzekomego „optymizmu", a wbrew ogólnej i szczegółowej wymowie źródeł, podnosił i wyolbrzymiał w swych wywodach i opracowaniach te momenty, które uważał za „krzepiące serca", które miały usprawiedliwiać i oczyszczać tę przyczynę i winę własną, t. j. naród polski, a podkreślać decydującą rolę czynnika — warunki i sąsiedzi. Niewątpliwie też aż do mego wystąpienia w r. 1933 z hasłem rewizji dziejów polskich „in capite et in membris", poglądy t. zw. optymistyczne opanowały naszą historjografję niemal bezwzględnie, czego najlepszym dowodem niech będzie fakt, że tak sumienny i ścisły historyk, jak prof. O. Halecki, w polemice ze mną, której wyjątkowy „fair play" publicznie podkreśliłem, wypo-

---

[4]) Przejawia się to np. w głośnej obecnie książce F. Młynarskiego: **Człowiek w dziejach** (Warszawa, 1936), gdyż autor, po szeregu ciekawych obserwacyj na tematy ogólnoświatowe, gubi zupełnie myślową busolę, gdy chodzi o sprawy polskie, nie widzi w o g ó l e kwestji mniejszości narodowych, religji, nakazów naszego położenia między dwoma największemi blokami świata, a operuje ogólnikami historycznemi, które nie mają zgoła żadnego uzasadnienia w faktach. Tajemnicę tej rozbieżności w poziomie orjentacji i argumentacji zdradza autor na str. 193 powołaniem się na O. Balzera **Z zagadnień ustrojowych Polski** z r. 1915, z których się sam Balzer w pewnych punktach wycofywał potem („Z zagadnień ustrojowych Polski. Nowe spostrzeżenia i uwagi"), oczywiście bez świadomości, że na szczęście kolidują one z najbardziej ustalonemi faktami z historji ustrojowej obcej i polskiej. Gdyby prawda rzeczowa i logiczna **Z zagadnień ustrojowych Polski** Balzera, które bez winy zainspirowały absurdy Chołoniewskiego, była obowiązująca — musiałby Polak Polski obecnej popaść w czarną rozpacz, lub w myśl rad „obcych" podporządkować się politycznie „obcym" w naiwnem zaufaniu dla ich względów i kredytu politycznego na stałe.

wiedział w sprawie winy czy przyczyny własnej upadku sąd następujący: „Owa głośna pesymistyczna teza okazała się tylko hipotezą, która jak tyle innych hipotez nie utrzymała się w nauce“ („Przegl. Pow.“, 1934, str. 305). To też niewątpliwie dziwne jest na tle takiego sumarycznego stwierdzenia w imieniu historjografji polskiej aż po koniec r. 1934, że już na Powszechnym Zjeździe Historycznym z końca r. 1935 tez t. zw. optymistycznych Askenazego i Balzera wogóle nikt nie próbował nawet bronić! Ten gwałtowny upadek tak powszechnie obowiązującego poglądu rzekomych „optymistów“ był bardzo prosty. Wprowadziłem w grę argument nowy, druzgocący, a sercom wszystkich Polaków bez wyjątku najdroższy, argument obecnej Polski Odrodzonej, wykazując tam właśnie, na Zjeździe, że ten t. zw. optymizm polskiej historjografji jest poglądem, który *kwestjonuje rację stałego bytu Państwa Polskiego.* Odwrotnie natomiast: w tych poglądach czy sposobach rozumowania, które przez dziwną opaczność zostały nazwane pesymistycznemi, można znaleźć *podstawę do wiary w trwałość i rozwój naszego państwa.* Dziś przeciwnicy mego tak kategorycznego poglądu próbują w rozlicznych dyskusjach zaczepiać ubocznie jeden czy drugi szczegół, sprowadzać zwykłemi chwytami tych, którzy są w trudnej sytuacji, całą debatę na boczne tory, by nie stwierdzić wprost, że poprostu niema rady: *syntetyczne poglądy t. zw. optymizmu trzeba bezwzględnie na całej linji odrzucić,* ratując z nich najwyżej pewne może szczegóły, bez prób obrony samego rozumowania. Jest to naturalna konsekwencja rzucenia na szalę tej całej olbrzymiej, prastarej dyskusji najbardziej ważkiego argumentu, który nie mógł wystąpić w tych osiemdziesięciu rozprawach wydanych przed wielką wojną, a nie został — o dziwo — poruszony w tych dwudziestu rozprawach w ciągu Wielkiej Wojny i po niej. Z tym argumentem, którym jest Odrodzona Polska, dzieje jej Odrodzenia i walki oraz rozwój po Odrodzeniu, wkroczyłem na zjeździe wileńskim w tę prastarą dyskusję.

Procesy historyczne, tak jak procesy biologiczne, wymagają pewnego dokonania się i ukończenia, zanim pewne wnioski czy przejawy syntetyczne staną się zupełnie zrozumiałe, widoczne i uchwytne. Dlatego też właściwe syntezy pewnych przejawów historycznych stają się ewidentne i zrozumiałe dopiero po dokonaniu się pewnych wypadków politycznych, jakkolwiek niewątpliwie bystry historyk może uchwycić rzeczywistą drogę stawania się przed zamknięciem procesu. Całe dzieje historjografji powszechnej są dowodem, że pewne ewidentne ujęcia syntetyczne stają się możliwe dopiero po zamknięciu danego ciągu wypadków politycznych, co np. najlepiej widzimy na dziejach Prus, których linja rozwojowa od czasów wielkiego elektora uzyskuje uchwytną dla każdego przejrzystość dopiero z momentem koronacji króla pruskiego na cesarza Niemiec. Dlatego też poglądy na to, co było *efficiens,* czyli rozstrzygające dla upadku byłej Rzeczypospolitej Polskiej,

*mogły być wprawdzie trafne* i słuszne już przed powstaniem Państwa Polskiego, ale ich *trafność stała się ewidentna* dopiero po powstaniu Odrodzonej Polski i po pewnym okresie jej bytu politycznego. Uciekając się do porównania poprzednio przeze mnie w tej sprawie podniesionego, powiem, że jest to taki sam wypadek, jak w matematyce przy funkcji dzielenia, gdzie można dzielić bez błędu bez sprawdzania; ale dzielenie to staje się ewidentne po przeprowadzeniu sprawdzenia przez mnożenie. Dlatego byłem, jako historyk Polski Odrodzonej, a co więcej — jako historyk myślący wyłącznie kategorjami Polaka Polski Odrodzonej, w tej szczęśliwej sytuacji, że wniosłem do tej prastarej dyskusji o przyczynach upadku Polski a) *sprawdzian dla tezy upadku przez fakt istnienia i dzieje Polski Odrodzonej,* b) *stwierdzenie i poczucie faktu zmiany polskiego charakteru narodowego jako przesunięcia się przewagi z elementów ujemnych na elementy dodatnie.* Jako człowiek Polski Odrodzonej i zarazem historyk byłej Rzeczypospolitej, widziałem z całą jaskrawością, że w w. XVIII i w w. XX mamy do czynienia z dwoma typami Polaka, które, na szczęście, mają już ze sobą w dziedzinie myślenia politycznego i działania wojskowego bardzo mało wspólnego. Są to obserwacje dla odczuwania tradycjonalnego przykre, ale tylko z tych obserwacyj możemy wyprowadzić wnioski górne i twórcze dla naszej sytuacji obecnej. Są to te dwa zasadnicze nowe punkty widzenia, które wkroczyły w grę i w debatę z momentem mego wystąpienia na VI Powszechnym Zjeździe Historyków.

*(Dokończenie nastąpi)*

S. LEWITAN

# POLITYKA I CHARAKTER

1

„Są ludzie (i ja do nich należę), którzy żywią przekonanie, że najważniejszą i najbardziej istotną dla życia praktycznego rzeczą jest w każdym człowieku jego pogląd na świat. Sądzimy, że dla gospodyni, zastanawiającej się nad wynajęciem mieszkania, ważną rzeczą jest znać dochody przyszłego lokatora, ale ważniejszą — znać jego filozofję. Sądzimy, że dla generała, który ma walczyć z nieprzyjacielem, ważna jest wiadomość o jego liczbie, ale ważniejsza — o jego filozofji". Słowa te, wypowiedziane przez słynnego angielskiego literata i moralistę Chestertona i powtórzone przez znakomitego autora *Pragmatyzmu,* Williama Jamesa (zob. Wacław Borowy: *Gilbert Keith Chesterton,* Kraków, 1929 r., str. 41), zawierają cały program teoretyczny i praktyczny. Pogląd na świat — to nietylko ten lub inny system filozoficzny; pogląd na świat — to duchowe oblicze człowieka, jego charakter.

Analizować i oceniać zjawiska życia społecznego należy według ich znaczenia dla charakteru człowieka. Nawet w drobnych, napozór nieznacznych nowelach kryminalistycznych usiłuje Chesterton przeprowadzić zasadę indywidualno-psychologiczną. Jego Ojciec Brown (zob. *Tajemnice Ojca Browna,* polskie tłumaczenie, str. 11 i nast.), ksiądz i detektyw w jednej osobie, nigdy nie ogląda przestępcy ze strony zewnętrznej: „Ja staram się wnijść w mordercę... Ja jestem w człowieku... Jestem w człowieku i poruszam się jego rękoma i nogami". Inny Anglik, twórca noweli kryminalistycznej, Conan Doyle, wskazał niegdyś drogę, którą, zdaniem jego, należy kroczyć, by odnaleźć ukrywającego się przestępcę: jest to droga dedukcji, rozumowania logicznego, opartego na śladach i poszlakach. Idealny detektyw Conan Doyle'a, przysłowiowy Sherlock Holmes, jest samotnym myślicielem, rozwiązującym zagadki kryminalistyczne podobnie, jak rozwiązuje się zagadnienia matematyczne. Chesterton obrał sobie jako boha-

tera opowiadań kryminalistycznych księdza, spowiednika dusz ludzkich; jako drogę do ujawnienia przestępcy wskazał intuicyjne wczucie się w psychikę sprawcy czynu. Ta właśnie jedynie skuteczna droga praktyki kryminalistycznej stanowi dla Ojca Browna swoiste „ćwiczenie religijne", gdyż zmusza badacza do przeistoczenia się. „Żaden człowiek nie jest ani trochę dobry, dopóki nie zrozumie, do jakiego stopnia jest zły" — powiada Ojciec Brown. Taki jest więc cel ostateczny zaleconej przez moralistę Chestertona metody psychologicznej: swoista gimnastyka duchowa, pogłębienie i udoskonalenie moralne samego badacza i obserwatora.

Nie będziemy zastanawiać się nad *moralną* wartością psychologicznej metody badania rzeczywistości społecznej; uzasadnienia wymagałaby raczej wartość teoretyczna i praktyczna wspomnianej metody. Z przekonania o jej wartości powstał temat pracy niniejszej, zagadnienie: jakie są podstawy etyczne i psychologiczne różnych kierunków myśli politycznej, jak reaguje jednostka na te lub inne osobliwości ustroju politycznego, czego ten lub inny ustrój od jednostki wymaga, — zagadnienie, które w te krótkie ujęliśmy słowa: polityka i charakter. Każda historja polityczna, a tembardziej historja myśli politycznej, powinna się opierać na podstawie psychologicznej. Zdanie Emila Ludwiga, że nie wyobraża on sobie wykładu w szkole lub na uniwersytecie o Filipie Hiszpańskim bez jego portretu (zob. Emil Ludwig: *Dary życia,* polskie tłumaczenie), możnaby było zastosować również do historji doktryn politycznych: wykład teorji Macchiavellego albo Roussa uwypuklić powinien cechy charakteru, portret duchowy każdego z nich — tak samo jak zarys życia politycznego Florencji w XV-ym w. albo dziejów Rewolucji Francuskiej zawierać powinien charakterystykę ludzi i obyczajów. Zadanie takiej historji politycznej wymagałoby całego życia; ale również inne, bardziej ograniczone ujęcie tematu: próba przedstawienia jedynie pewnych *typów* ustroju państwowego i myśli politycznej w związku z zapatrywaniami filozoficznemi, obliczem moralnem i cechami charakteru ich reprezentantów — ulec powinno w ramach pracy niniejszej dalszemu ograniczeniu: zastanowimy się jedynie nad dwiema odmianami światopoglądu politycznego, demokratyczną i autokratyczną. Uczynimy to na podstawie dzieła Hansa Kelsena — niewielkiej książeczki, wydanej w r. 1933 p. t. *Staatsform und Weltanschauung* (Tübingen, Verlag von J. C. B. Mohr). Zanim się jednak do dzieła tego zwrócimy, jeszcze kilka uwag celem wyjaśnienia i usprawiedliwienia naszego tematu.

2

Badanie zagadnień politycznych z punktu widzenia charakterologicznego posiada w naszem rozumieniu przedewszystkiem znaczenie *metodologiczne:* jest jednym ze sposobów obserwacji i analizy życia społecznego.

Interesuje nas stosunek polityki do psychologji *indywidualnej*. Nie zastanawiamy się więc nad wpływem warunków psychologji zbiorowej (np. psychologji narodowej, psychologji tłumu i t. d.) na ukształtowanie się życia publicznego. Nie zastanawiamy się również nad stosunkiem czynnika psychologicznego do innych czynników historycznych, nad genezą ustroju i myśli politycznej. Badamy rzeczywistość polityczną pod kątem widzenia ludzkiego charakteru — nic więcej. Z drugiej strony — nie ograniczamy swej obserwacji do badania zjawisk psychologji indywidualnej w oderwaniu od konkretnych sytuacyj politycznych, nie roztrząsamy jedynie możliwości politycznych, które tkwią w takim lub innym charakterze; przeciwnie: staramy się konfrontować indywidualność ludzką z rzeczywistością polityczną, a w zdarzeniach politycznych szukamy śladów oddziaływania ludzkich charakterów. Dążąc do ustalenia związku koniecznego, który istnieje między typowemi kierunkami myśli politycznej a typami charakterów, kroczymy więc drogą pośrednią pomiędzy socjologją a psychologją, jednocześnie ograniczając zakres badania jednej z nich i rozszerzając zakres badania drugiej. Nie można, badając zagadnienia życia zbiorowego, zastąpić punktu widzenia socjologicznego stanowiskiem indywidualno-psychologicznem: byłoby to stanowisko sztuczne, błędne, a w konsekwencjach praktyczno-politycznych — szkodliwe. Można i należy jednak stwierdzać fakty oddziaływania właściwości psychologicznych jednostki na rozwój stosunków i teoryj społecznych, można i należy oceniać skuteczność instytucyj społecznych w zależności od ich znaczenia dla rozwoju moralnego jednostki. W odniesieniu do zjawisk natury politycznej — takie jest właśnie zadanie charakterologji i pedagogiki politycznej.

Droga, którą sobie obraliśmy, nie jest obca teorji i praktyce współczesnej. Pomijamy tę ostatnią, wskazując tylko dla przykładu na tendencje indywidualno-psychologiczne, które panują w pedagogice, w organizacji pracy i w dziedzinie praktyki politycznej (szczególne uwzględnienie czynnika psychologicznego w organizacji politycznej, oparcie władzy państwowej na odpowiednio przygotowanych grupach i jednostkach). Zastanówmy się jednak nad licznemi próbami teoretycznego ujęcia rzeczywistości ze stanowiska indywidualno-psychologicznego. Pomijamy materjał, zawarty w badaniach historycznych i socjologicznych. Zarówno w jednych, jak i w drugich oddawna odróżnić można kierunek, a poniekąd nawet szkołę, która w procesie dziejowym dopatruje się objawów i oddziaływania indywidualności, jednostki, charakteru. Nie chodzi nam również o literaturę ściśle indywidualno-psychologiczną, która zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach zajęła wybitne miejsce w dziedzinie badań psychologicznych (Stern, James, Klages). Historja i socjologja — z jednej strony, a psychologja — z drugiej, stale uwzględniają wzajemny stosunek między właściwościami psycho-

logicznemi jednostki a rozwojem społeczno-umysłowym. Nas interesują jednak poszczególne dziedziny wiedzy, tematy specjalne.

Otóż, kto szperał w książkach i artykułach ostatnich lat dwudziestu lub trzydziestu, nie mógł nie zwrócić uwagi na upór, z jakim ciekawość ludzka na różnych odcinkach życia stale wracała do jednego zagadnienia: jaki związek istnieje między charakterem człowieka — właściwościami jego umysłu, uczucia, woli, ustosunkowaniem się do świata i ludzi — a jego filozofją, nauką i sztuką, jego systemem gospodarczym, jego ideałami politycznemi? Jaki związek istnieje między właściwościami psychicznemi jednostki a jej życiem fizjologicznem, płciowem, budową ciała, charakterem pisma? Wystarczy pytania te postawić, aby przypomnieć sobie nazwiska autorów i tytuły książek, tytuły, które same przez się świadczą o kierunku zainteresowania badacza. Wymienimy kilka przykładów: pierwiastki subjektywne w filozofji podkreśla Simmel; Maks Weber zastanawia się nad rolą pierwiastków subjektywnych w naukach społecznych, pragnąc odróżnić myślenie polityczne od objektywnego myślenia naukowego; strukturę utworów literackich w związku z psychologją indywidualną ich autorów analizuje słynny niegdyś, obecnie zapomniany krytyk rosyjski Owsianniko-Kulikowski; próby charakterologicznego podejścia do zjawisk życia gospodarczego znajdujemy u Sombarta; zagadnieniem charakterologji prawnika pierwszy zajmuje się Theodor Sternberg w swem dziele o Kirchmanie; Weininger pisze o płci i charakterze, Adler — o nerwowym charakterze (m. in. powołuje się Adler na Vaihingera, popularnego dawniej w Niemczech twórcy filozoficznej teorji fikcyj, który, zdaniem Adlera, oparł swą analizę myślenia filozoficznego na tych samych podstawach charakterologicznych, któremi operuje Adler); Kretschmer — o budowie ciała i charakterze (w polskim przekładzie ukazała się ciekawa rozprawa Kretschmera o ludziach genjalnych), Klages wreszcie pisze o piśmie i charakterze, tworząc naukowy system grafologji, dzieło oryginalne i głębokie. Filozof i historyk literatury, ekonomista i prawnik, seksuolog, neurolog, anatom, grafolog, — każdy w inny sposób i w innem znaczeniu zastanawia się nad tematem. Ale temat jest u wszystkich jednakowy: stosunek danej dziedziny życia do charakteru człowieka.

Dlatego też, gdy natrafiliśmy w wyżej wymienionej książce Kelsena na twierdzenie, że pewnej kategorji poglądów politycznych zawsze odpowiada określony światopogląd filozoficzny, że wspólnem źródłem wyznania politycznego i przekonania filozoficznego jest struktura duchowa, charakter polityka lub filozofa i że typologja polityczna (jak również typologja poglądów filozoficznych) opierać się powinna na charakterologji — poznaliśmy znane nam skądinąd myśli i nie wahaliśmy się zaliczyć książki Kelsena do tych wszystkich dzieł, które właśnie zostały pobieżnie przytoczone.

3

Kelsen przedstawia jedynie dwa typy systemów politycznych: autokrację i demokrację. Jak się wkońcu przekonamy, systemy te zasadniczych kierunków myśli politycznej nie wyczerpują, należą jednak do najbardziej rozpowszechnionych; ponadto — przeciwstawienie autokracji i demokracji jest w obecnych warunkach szczególnie aktualne. Od czasów rewolucji francuskiej, powiada Kelsen, politycznym ideałem XIX-go stulecia była demokracja. Od czasu wielkiej wojny, z powstaniem Związku Sowietów — z jednej strony i państwa faszystowskiego we Włoszech — z drugiej, rozwija się nowy ruch polityczny i umysłowy, który w sposób kategoryczny przeciwstawia się demokracji. Zasadą demokracji jest wolność: wolność tworzenia form życia zbiorowego. Demokracja jest autonomją polityczną narodu; najlepiej więc urzeczywistnia się demokracja tam, gdzie naród sam bezpośrednio swe życie polityczne tworzy, tam, gdzie rządzi na zebraniach narodowych i sam wydaje nakazy i zakazy postępowania. Reprezentacja parlamentarna jest już tylko pewną fikcją panowania narodu. Wolność polityczna ogranicza się w tym wypadku do swobody tworzenia organu panowania narodu — parlamentu. Idea wolności nie wystarcza jednak do ugruntowania demokracji. Kto pragnie wolności dla siebie, musi żądać wolności również dla drugich: *ja* pragnę wolności dla *ciebie*, gdyż jestem taką samą istotą jak *ty*. Idea wolności łączy się więc z ideą równości. Wszyscy jesteśmy równi i wszyscy pragniemy wolności dla wszystkich. Stąd właśnie zasada panowania większości: jeżeli niemożliwe jest osiągnięcie jednomyślności i wolności dla wszystkich, niech będzie wolna przynajmniej większość narodu. Maximum wolności i minimum narzucania ludziom obcej woli osiąga się wówczas, gdy rządzi większość.

Nie wynika z tego jednak, — wywodzi dalej Kelsen, — by mniejszość miała swe prawa stracić, by panowanie większości miało być panowaniem absolutnem. Wręcz przeciwnie: demokracja nietylko przyznaje prawa mniejszości, ale i sama dba o nie, sama stwarza instytucje celem ochrony religijnych, narodowych i ekonomicznych interesów mniejszości. Demokracja — to walka między większością a mniejszością, między rządem a opozycją; demokracja to — dyskusja (!). Dlatego też stałą formą rządów demokratycznych, owocem tej walki jest kompromis. Demokracja nie zna innego przymusu prócz tego, który wywiera na człowieku własne jego sumienie. Nie zna innego narzędzia walki, prócz słowa i przekonania. Wolność umysłowa, wolność słowa, wyznania i sumienia, w szczególności zaś wolność nauki, płynąca z przekonania o istnieniu naukowej, objektywnej prawdy: — oto żywotne warunki istnienia demokracji.

Jak więc wyobraża sobie Kelsen typ człowieka, któremu ustrój demo-

kratyczny odpowiada najbardziej? Jest to człowiek, w którym dążenie do wolności pohamowane zostało poczuciem równości wszystkich, — człowiek, który, gdy stoi przed innym człowiekiem, powiada do siebie: ten człowiek — to ja; jest to więc typ człowieka o stosunkowo słabo rozwiniętem poczuciu własnej jaźni, człowieka, który nie obstaje przy przekonaniu o własnej, niezastąpionej wartości, — człowieka sympatyzującego, usposobionego pokojowo, nieagresywnego. Energja duchowa takiego człowieka skierowana jest raczej nawewnątrz niż nazewnątrz. Charakteryzuje go subtelne poczucie odpowiedzialności, krytyczny stosunek do samego siebie. Człowiek taki skłonny jest raczej świat zrozumieć, niż panować nad światem; wierzy, że ludzi można nietylko zrozumieć, lecz i przekonać i porozumieć się z nimi. Wierzy w siłę krytycznej i objektywnej nauki. Mając do wyboru między czynem a myślą, woli tę ostatnią.

Inna jest zupełnie — zdaniem Kelsena — podstawa psychologiczna ustroju autokratycznego. Zaprzeczenie wolności, panowanie nad ludźmi, doprowadzone do maximum: — oto idea autokracji. Źródłem władzy państwowej jest jednostka, wódz, który przeciwstawia się ogółowi, jako człowiek odmiennej zupełnie konstrukcji duchowej. Radykalna nierówność panujących i poddających się panowaniu jest zasadą ustroju autokratycznego. Ustrój ten najbardziej odpowiada ludziom o wyolbrzymionem poczuciu własnej wartości. Niema sprzeczności pomiędzy dążeniem do panowania a ślepem posłuszeństwem wobec dyktatora u ludzi, z których każdy sam pragnąłby zostać dyktatorem. Tajemnica posłuszeństwa polega na identyfikowaniu się z autorytetem wodza. Człowiek identyfikuje siebie z osobą dyktatora, jednostka — z jednostką idealną.

W ustroju autokratycznym niema, oczywiście, miejsca dla opozycji. Decyduje nie dyskusja, nie kompromis — jak w ustroju demokratycznym, — lecz dyktando. Nie może być więc mowy również o wolności myśli, wyznania i sumienia, o żadnej wogóle tolerancji. Wola ma w autokracji więcej znaczenia niż myśl. Wola państwowa rozstrzyga o tem, co jest dobre a co złe, i prawdą jest to tylko, co jest z punktu widzenia państwowego dobre. Kto się autorytetowi państwa sprzeciwia, postępuje nietylko niezgodnie z ustawą, ale jeszcze i niezgodnie z logiką, działa nietylko bezprawnie, lecz zarazem błędnie. Dla autokracji nie istnieje wolność nauki: naukę zastępuje religja i wogóle pierwiastki irracjonalne.

4

Po ustaleniu zasad ogólnych, które stanowią właściwość omawianych ustrojów politycznych, przechodzi Kelsen do analizy zasad prawnych, na których się te ustroje opierają. Demokracja dąży do ustalenia systemu norm, utrwalonych w miarę możliwości na piśmie. Te normy ogólne określają

granice, których przekroczyć nie mogą poszczególne akty administracyjne i wymiar sprawiedliwości. W ten sposób czynności administracyjne i obrót prawny stają się zgóry obliczalne (stąd właśnie płynie poczucie pewności i bezpieczeństwa, które towarzyszy każdemu obywatelowi prawdziwej demokracji). Najważniejszem zadaniem państwa jest ustawodawstwo. Ideałem demokracji jest praworządność i legalność. Porządek prawny, pewność obrotu prawnego są ważniejsze od przeprowadzenia zasad zawsze problematycznej sprawiedliwości. Gwarancją legalności jest zupełna jawność postępowania w instytucjach publicznych. Wykrywanie nadużyć, popełnionych przez urzędników, jest cechą charakterystyczną dla ustroju demokratycznego; dlatego też powierzchowna a nieżyczliwa obserwacja wnioskuje, że korupcja polityczna jest właściwością ustroju demokratycznego. W rzeczywistości — korupcja urzędników w autokracji mniej tylko bywa widoczna.

Autokracja gardzi racjonalizacją ustroju społecznego i unika krępowania władcy i jego pomocników przez ustawy. Poszczególny akt władzy państwowej przedstawia się nie jako wykonanie ustawy, które można było przewidzieć zgóry i na które można było liczyć, lecz jako twórczy akt intuicyjny, wykonany przez władcę lub jego pomocników — którzy są zastępcami i sługami władcy, nie zaś organami państwa. W autokracji panuje zasada swobodnego uznania wykonawców władzy państwowej. Uporządkowanie życia zbiorowego pod kątem widzenia jedynie sprawności, pewności obrotu, bezpieczeństwa prawnego — nie wystarcza jednak autokracji. Każdy akt władzy państwowej powinien być urzeczywistnieniem sprawiedliwości absolutnej, a tajemnicę sprawiedliwości tej posiada jedynie obdarzony niezwykłą intuicją dyktator. Autokracja nie ma zgóry opracowanego programu, jak tego wymaga od rządu każdy racjonalistyczny ustrój demokratyczny; jeżeli zaś, zmuszona okolicznościami, program polityczny prezentuje — jest to program bądź bez wszelkiej treści, bądź pełen sprzeczności. Życie nie daje się ująć w karby systemu lub programu, — twierdzą zwolennicy systemu autokratycznego; wszystko zależy od konkretnego, twórczego czynu. Autokracja unika objektywnej i naukowej debaty w zakresie zagadnień politycznych i nie dopuszcza do publicznej kontroli działalności instytucyj państwowych. Ze stanowiska autokratycznego zarządzenia kontrolne tamują tylko załatwienie interesów publicznych. Nie jawność pracy politycznej, lecz przeciwnie: ukrywanie tajemnic maszyny państwowej w celu zachowania autorytetu, wzmocnienia dyscypliny i zapewnienia sobie posłuszeństwa ze strony poddanych — cechuje autokrację. Taki system polityczny wytwarza dookoła państwa ideologję religijno-mistyczną, legendę, mit. Właśnie w imię zdrowego rozsądku, w imię krytycznego i objektywnego stosunku do rzeczy walczy z ideologjami autokratycznemi — demokracja!

Reprezentantem ideologji autokratycznej jest wódz, który w państwie autokratycznem odgrywa inną zupełnie rolę, niż leader polityczny w demokracji. Wódz jest istotą boską, w każdym razie — nadludzką. Pojawienia się wodza niepodobna wytłumaczyć sobie w sposób racjonalistyczny. Wodza nie stwarza środowisko, w którem się wódz urodził i wychował; przeciwnie: wódz sam dopiero tworzy i łączy społeczeństwo. Wódz jest objawieniem wartości absolutnej. Wódz odpowiedzialny jest tylko przed Bogiem albo przed samym sobą. W ustroju demokratycznym wodzowie polityczni mają wartość względną, wybiera ich bowiem społeczeństwo lub wyznacza państwo, przed któremi są też odpowiedzialni. Wybory i mianowania odbywają się w sposób jawny, zgodny z przepisami prawa publicznego lub utartemi obyczajami, pod wpływem opinji publicznej i argumentów krytycznych. Rządy demokratyczne cechuje ich zmienność. Władza nie jest tu monopolem jednostki. W autokracji natomiast charakterystyczne jest dążenie do utrwalenia władzy, do stabilizacji stosunku pomiędzy wodzem i społeczeństwem.

Autokracja jest bezwzględna w stosunku do swych przeciwników, gdyż wierzy w absolutną wartość realizowanego przez siebie ustroju. Demokracja — ze swemi zasadami tolerancji, legalności, wolności przekonań i ochrony mniejszości — wychowuje wprost w swojem łonie przeciwników. Na tem polega właśnie paradoksalny a zarazem smutny przywilej demokracji, że może ona w drodze zupełnie legalnej zniszczyć podstawy własnego istnienia. Z drugiej strony — na tem polega znowu niebezpieczeństwo ustroju autokratycznego, że w ustroju tym czynniki opozycyjne (które niewątpliwie istnieją), wrogie afekty polityczne zmuszone są do ukrywania się, do koncentrowania się poza obrębem swobodnego rozwoju i jawności. Narazie Kelsen nie rozstrzyga kwestji, jaki ustrój lepiej chroni państwo przed niebezpieczeństwem wstrząsów rewolucyjnych.

5

Zupełnie odmiennie przedstawia się, — zdaniem Kelsena, — zewnętrzno-polityczne stanowisko demokracji i autokracji. Demokracja hołduje ideałom pacyfistycznym, podczas gdy ustrój autokratyczny związany jest raczej z polityką imperjalistyczną. Demokracja ukrywa się za maską wojny obronnej, podczas gdy autokracja, z jej bohaterskiem nastawieniem, tego rodzaju usprawiedliwienia nie potrzebuje. W stosunkach międzynarodowych demokracja walczy o światową organizację społeczeństwa, która posiadać będzie wszystkie cechy ustroju demokratycznego: o stowarzyszenie narodów, o światową instancję rozjemczą, w ostatecznym celu — o państwo światowe. A właśnie uniwersalnego państwa światowego nie życzy sobie, według Kelsena, państwo autokratyczne.

W tym odmiennym zupełnie stosunku do zagadnień międzynarodowych uzewnętrznia się najdobitniej zasadnicza różnica między autokratycznym i demokratycznym poglądem na istotę państwa. Człowiekowi o szczególnie rozwiniętem poczuciu własnej jaźni odpowiada pogląd na państwo jako na istotę zbiorową, niezależną od sumy wchodzących w skład tej zbiorowości jednostek — jako na organizm mistyczny, najwyższą istotę, która jest urzeczywistnieniem wartości absolutnej. Suwerenna wola własnego państwa jest najwyższą władzą, jaka istnieje w życiu społecznem — nietylko w stosunkach wewnętrznych, ale również w stosunkach zewnętrznych państwa. Tę najwyższą istotę zbiorową reprezentuje władca suwerenny — i każdy zwolennik systemu autokratycznego, identyfikując siebie z tym idealnym władcą, powtórzyć może w stosunku do siebie słynne powiedzenie: „państwo — to ja". Z tego punktu widzenia, prawo narodów opiera się przedewszystkiem na ustawach własnego państwa i o tyle tylko posiada moc obowiązującą, o ile własne państwo je uznaje. Wręcz przeciwne stanowisko zajmuje demokrata, dla którego państwo jest tylko systemem stosunków prawnych, umową społeczną, zawartą w celu osiągnięcia ładu i porządku. Państwo nie jest jakąś istotą nadludzką, panującą nad ludźmi i odrębną od ludzi, którzy w skład państwa wchodzą; państwo, — powiada demokrata, — to my. W świetle tych poglądów państwo ma względną tylko wartość; nie jest ono najwyższym tworem prawnym, stanowi jedynie szczebel przejściowy między mniejszemi grupami społecznemi a uniwersalną organizacją narodów, która pochłania w sobie suwerenną wolę poszczególnych państw.

Jak wynika z przedstawionych poglądów, typowi autokratycznemu odpowiada religijno-polityczny sposób myślenia, podczas gdy mentalność demokratyczna polega na objektywnem, naukowem traktowaniu zagadnień społecznych. Swój ideał polityczny stawia autokrata ponad wszelkie rozumowania naukowe, demokrata natomiast walczy z ideologjami wszelkiego rodzaju i uznaje względność wszystkich teoryj politycznych. W atmosferze demokracji prawdziwa nauka o państwie rozwija się łatwiej niż w autokracji, która tworzy określoną ideologję państwa. Tylko typ demokratyczny zdolny jest do objektywnej oceny własnego ustroju państwowego; lecz siła naukowa staje się w tym wypadku słabością polityczną. Zasad demokratycznych bronić będzie raczej człowiek, skłonny do naukowego myślenia, niż taki, który — wraz z ustrojem autokratycznym — pragnie otrzymać określoną wiarę polityczną.

W tej różnicy zapatrywań na istotę państwa, w tych dwóch odmiennych sposobach traktowania zagadnień politycznych tkwi — zdaniem Kelsena — zasadnicza różnica światopoglądów, które stanowią właściwe podłoże zapatrywań politycznych; różnica ta wynika z rozmaitego ustosunko-

wania się do wartości absolutnych. To jest właśnie zasadnicze pytanie: czy się wierzy w wartości absolutne, w absolutną prawdę i rzeczywistość absolutną — czy też jest się zdania, że człowiekowi dostępne są jedynie wartości względne, względna prawda i względna rzeczywistość. Wiara w absoluty, głęboko w uczuciu zakorzeniona, stwarza podstawę światopoglądu metafizycznego. Brak tej wiary, oparte na rozumie przekonanie, że istnieją tylko wartości względne, że każda prawda (tak samo jak człowiek, który ją odnajduje) ustępować musi swoje miejsce innej — jest podstawą krytycznego, empirycznego i pozytywnego poglądu na świat. Temu przeciwieństwu światopoglądów odpowiadają sprzeczne zapatrywania polityczne: światopoglądowi metafizycznemu odpowiada kierunek autokratyczny, światopoglądowi realistycznemu, naukowemu — kierunek demokratyczny.

6

Czy ta ostateczna ocena światopoglądu krytyczno-demokratycznego, według kryterjów Kelsena jest słuszna? Czy demokracja, — broniąc wolności fizycznej i moralnej, szanując oblicze duchowe każdego człowieka, nawet swego wroga politycznego, licząc się z wolą większości i uwzględniając interesy mniejszości, prowadząc politykę kompromisów i zwalczając samowolę polityczną, — czyni to naskutek rezygnacji, naskutek braku wiary w jakiekolwiek wartości absolutne? Jeżeli państwo posiada w oczach demokraty znaczenie drugorzędne, względną tylko wartość, czy nie zachodzi tu w stosunku do ideologji etatystycznej, którą reprezentuje autokracja, nie *brak* wartości absolutnych, lecz *przesunięcie* ich na inną, pozapaństwową płaszczyznę?

Przysłuchajmy się na chwilę wewnętrznym swym słuchem brzmieniu tak dobrze znanego słowa: demokracja — panowanie ludu. Ogarnijmy wzrokiem wewnętrznym znane z ławy szkolnej zdarzenia i postacie polityczne: walki o prawa obywatelskie, o wolność ludów, o wyzwolenie narodowe, o sprawiedliwość społeczną. Uświadomimy sobie wówczas potęgę etyczną ideału demokratycznego. Jeżeli podstawą autokracji jest wiara w wartość absolutną zbiorowych form życia ludzkiego, to demokracja jest wiarą w człowieka, opartą na przekonaniu, że tylko człowiek jest źródłem najwyższych wartości moralnych. Na tem polega właśnie różnica między ustrojem demokratycznym a ustrojem autokratycznym, różnica, która z taką siłą i konsekwencją uwypuklona została w dziele Kelsena: pierwszy z nich zastosowany jest do duchowych i materjalnych potrzeb jednostki, drugi stawia ponad wszystkiem interesy życia zbiorowego: państwo, naród, klasę, partję.

W rzeczywistości jednak zasady powyższe nigdy nie zostają przeprowadzone w sposób bezwzględny. Polityka demokratyczna zawsze liczy się z interesami poszczególnych grup społecznych i nigdy nie sprzeniewierzała

się naczelnym hasłom dobra narodu. Z drugiej strony — autokracja zwykle szuka oparcia we wszystkich warstwach społeczeństwa, pragnie aktywizować wszystkich, wciągnąć każdą jednostkę do swego aparatu państwowego. Największą ambicją dyktatora, najskuteczniejszym argumentem absolutyzmu jest powołanie się na narodowy charakter sprawowanej władzy, na dobrowolność ofiar, składanych przez jednostkę na ołtarzu państwa. Stąd właśnie płynie ideał monarchji narodowej, stąd pojęcie cezaryzmu, stąd psychologiczne podłoże przeistoczenia się ruchów rewolucyjnych, wolnościowych i ludowych, w panowanie autokracji, w system dyktatury.

Demokracja, powiadamy, liczy się stale z interesami grup społecznych; dlatego, w zależności od warunków i sytuacyj, występuje w obronie interesów całego narodu lub poszczególnych klas: znane są przykłady demokracji narodowej, mieszczańskiej, socjalnej. Ale pojęcia „narodu" albo „klasy", któremi operuje demokracja, zgoła odmienne są od tychże zasad w ujęciu autokratycznem. W pojęciu demokraty „naród" albo „klasa" jest pojęciem realnem, uchwytnem i dlatego — zmiennem; miernikiem interesu „narodowego" lub „klasowego" jest, z tego stanowiska, konkretny interes jednostek. Natomiast teorje narodowe typu autokratycznego wysuwają samoistny interes narodu jako historycznej istoty zbiorowej. Tak samo jak pogląd na istotę państwa, demokratyczny pogląd na istotę narodu albo klasy jest bardziej realny, bardziej krytyczny, bardziej naukowy, niż teorje autokratyczne.

Pozytywne ustosunkowanie się do interesów narodowych lub klasowych nie koniecznie powoduje w systemie demokratycznym zmianę zasady. Zasadą pozostaje interes jednostki lub jednostek — w zależności od tego, jaka strona życia jednostki: indywidualna czy zbiorowa, prywatna czy publiczna, wysunięta zostaje na plan pierwszy. Jednostka nie zawsze bowiem w jednakowym stopniu pragnie zachować węzły, łączące ją ze społeczeństwem. Wolność, do której dąży, może być nietylko wolnością rządzenia się według własnego uznania, nietylko wolnością *w państwie;* może ona być również wolnością *od państwa,* dążeniem do rozszerzenia zakresu prywatnego życia jednostki. Ten właśnie kierunek polityki demokratycznej reprezentuje polityka liberalna.

Liberalizm żąda dla obywateli zupełnej niezależności życia społecznego, gospodarczego, umysłowego. Uważa, że życie najskuteczniej rozwija się tam, gdzie niema przymusu państwowego. Zwalcza etatyzm, państwo policyjne, działalność państwa pragnie ograniczyć do czynności niezbędnych, w których żadna inna organizacja zastąpić państwa nie może. Liberalizm ekonomiczny jest tylko wyrazem liberalizmu ogólnego, zastosowaniem zasady ogólnej do polityki gospodarczej. Liberalizm wysuwa więc, jako zasadę naczelną, zasadę wolności indywidualnej, interes jednostki,

która sobie sama formę życia zbiorowego obiera. Zasadę wolności *zbiorowej,* interes społeczny, reprezentuje drugi odłam myśli demokratycznej — ten, któremu historja polityczna zawdzięcza rozbudowę najbardziej popularnych instytucyj demokratycznych: podział władz, parlamentaryzm, samorząd i t. d. Tak więc wszystkie tradycyjne hasła z czasów rewolucji francuskiej, — wolność, równość i braterstwo, — znajdują wyraz w rozmaitych kierunkach myśli demokratycznej. Liberalizm deklaruje prawa człowieka i obywatela; demokracja — we właściwem tego słowa znaczeniu — podkreśla raczej obowiązek obywateli wobec państwa, wysuwając jako hasło naczelne dobro Rzeczypospolitej, interes republiki.

Że te hasła mogą być wyrazem wiary w wartości absolutne, świadczy o tem szereg przykładów historycznych. Niektóre z nich, niezależnie od prawdy historycznej, zachowały się w świadomości społeczeństwa jako trwałe symbole psychologji politycznej. Takie są, naprzykład, postacie Dantona i Robespierre'a — antagonistów, którzy reprezentują dwie strony idei demokratycznej: indywidualną i zbiorową. Danton z potęgą trybuna walczy o prawa jednostki; Robespierre jest dyktatorem, który pragnie stworzyć racjonalistyczną religję państwa. Na przykładzie Robespierre'a w szczególności widzimy, jak realistyczny program demokracji przeistacza się w ideologję metafizyczną. Robespierre *nie jest zwolennikiem autokracji,* aczkolwiek rządzi jak autokrata i korzysta z dyktatury celem urzeczywistnienia demokracji. Przyznać jednak należy, że jest coś wspólnego między metafizyką demokracji jako ideału życia zbiorowego a metafizyką państwa autokratycznego: w jednym i drugim przypadku zaciera się pojęcie niezależnej, posiadającej absolutną wartość jednostki. W miarę tego jak zaczyna się kłaść większy nacisk na obowiązki obywatela wobec państwa, w miarę tego jak przymus państwowy ogarnia w coraz większym stopniu życie jednostki — ideał państwowy traci swą zmienność, staje się niezależny od chwilowych jej potrzeb i zainteresowań.

Zmienia się jednocześnie zarówno podstawa etyczna, jak i metoda myślenia polityki demokratycznej. Gdy miernikiem rozwoju politycznego staje się nie konkretny interes jednostki i społeczeństwa, lecz abstrakcyjny ideał państwa — myślenie państwowe traci swój krytyczny, naukowy charakter i nabiera cech myślenia abstrakcyjnego, apodyktycznego, staje się metafizyką polityczną. Metafizyka demokracji różni się od metafizyki systemów autokratycznych. Autokracja operuje kategorjami historycznemi, podnosi wartość historyczną form życia zbiorowego, wskrzesza tradycję, sięga do głębokiej przeszłości; natomiast konstrukcja demokratyczna prawom historycznym przeciwstawia prawa natury, jest w tym sensie antyhistoryczna, rewolucyjna, racjonalistyczna. Tak więc, w ramach światopoglądu demokratycznego stwierdzamy nietylko zasadę indywidualistyczną

i metodę krytyczną: odnajdujemy w nich również tendencje kolektywistyczne i metafizyczny sposób myślenia, czyli te właśnie cechy, które, zdaniem Kelsena, stanowią cechy odrębne filozofji autokratycznej.

Z drugiej strony — myśl autokratyczna również nie jest pozbawiona zainteresowań dla losu jednostek: wspominaliśmy już o dążeniu polityki autokratycznej do aktywizacji i organizacji społeczeństwa, do wychowania w każdym obywatelu świadomego współuczestnika polityki państwowej. Państwo autokratyczne nietylko *żąda,* lecz także *daje.* Korzystając z reminiscencyj historycznych, nawołując do ochrony wartości wiecznych i idealnych, autokracja potrafi jednocześnie prowadzić politykę nader realną, bardzo skuteczną, odpowiadającą i rzeczywistym potrzebom i urojonym interesom szerokich mas; jako przykład służyć może polityka imperjalistyczna z czasów przedwojennych i polityka rasowa z czasów nowszych. Zarówno jedna jak i druga związana jest w zasadzie z ustrojem autokratycznym, ale niewątpliwie ani jedna ani druga nic wspólnego z „metafizyką" autokracji nie mają. Przeciwnie: mamy w tych wypadkach przykłady wyrafinowanego wyrachowania politycznego. Gdy wchodzą w grę realne interesy polityczne lub ekonomiczne, światopogląd autokratyczny na różnych odcinkach polityki zewnętrznej i wewnętrznej traci swoją siłę metafizyczną i abstrakcyjny sposób myślenia.

Jakie znaczenie posiada więc koncepcja Kelsena o istnieniu dwóch zasadniczych typów ustrojów politycznych, opierających się na odmiennych zasadach etycznych, wymagających odmiennych sposobów myślenia i odpowiadających odmiennym cechom charakteru — skoro już pobieżna analiza teorji i praktyki politycznej wykazuje obecność cech zarówno jednego jak i drugiego typu w obrębie każdego z omawianych ustrojów: autokracji i demokracji? Nie wahamy się odpowiedzieć: ogromne. Jeżeli zrozumieć wywody Kelsena nie jako przeciwstawienie odosobnionych ustrojów czy programów politycznych, lecz jako przedstawienie dwóch typów *psychologji politycznej* — będziemy mieli drogowskaz o niewykorzystanem jeszcze znaczeniu metodologicznem, zarówno przy badaniu rzeczywistości politycznej, jak i przy jej ocenie.

Odtworzone przez nas ściśle według Kelsena typy psychologji politycznej odnaleźć można w każdym kierunku politycznym. I nietylko *można,* lecz wprost *należy* szukać ich wszędzie, należy je z ukrycia na światło dzienne wydobywać, gdyż, jawne lub ukryte, istnieją wszędzie i wiele zjawisk w życiu politycznem tłumaczą. W każdym ustroju, w każdej partji, w każdej teorji politycznej stwierdzić możemy istnienie obu omawianych typów; jest to dowód łączności między polityką a charakterem. Nie chodzi o przeciwstawienie demokracji i autokracji, jako dwóch systemów prawno-politycznych; chodzi o przeciwstawienie ideałów indywidualistycznych

i kolektywistycznych, myślenia racjonalistycznego i metafizycznego; chodzi o realizm i romantyzm w polityce. Demokracja reprezentuje przeważnie pierwszy, autokracja — drugi kierunek; widzieliśmy jednak, że demokracja nie jest obca zasadom kolektywistycznym i myśleniu metafizycznemu, autokracja zaś nie wyklucza realizmu. Typy powyższe mogą służyć jako kryterjum psychologiczne przy kwalifikacji partyj i grup politycznych. Często odpowiadają one — naprzykład — temu, co pospolicie nazywają podziałem na „lewicę" i „prawicę", albo (w obrębie tej samej partji) pojęciu „większości" i „opozycji". Pragnąłbym jeszcze nadmienić, że również poza dziedziną polityki — w dziejach filozofji społecznej, w historji ruchu socjalistycznego, w różnych dziedzinach myśli prawniczej — interesujące nas typy psychologiczne występują wyraźnie.

*

Każda doniosła prawda naukowa posiada tę właściwość, że staje się dobrem ogólnem, że z biegiem czasu przeistacza się w zwykłą, nie budzącą żadnej wątpliwości banalność. Ta zdolność idei do rozpowszechniania się jest poniekąd sprawdzianem jej wartości: to, co wytrzymuje próbę codziennego doświadczenia i obserwacji, musi być prawdziwe. Otóż — rzec można, że koncepcja psychologiczna, która jest podstawą wywodów powyższych, w tej lub innej formie, w tej lub innej części jest oddawna instrumentem, którym posługują się publicysta i mówca, i literat, i dziennikarz w swojej analizie politycznej. Aż do ostatnich czasów w dziełach najbardziej aktualnych odnajdujemy ślady zasad i terminologję, które usiłowaliśmy przedstawić w sposób systematyczny. Kelsen jeden z pierwszych ujął w logiczną całość obserwacje, które niezależnie od niego uczynione zostały przez ludzi, należących do różnych kierunków i pracujących w rozmaitych dziedzinach myśli. Zrozumieć wartość teoretyczną naszkicowanych przez nas wywodów — to znaczy przyznać im jednocześnie znaczenie praktyczne, jakie mogą one posiadać dla każdego, kto czynem lub słowem pragnie przyczynić się do ukształtowania rzeczywistości politycznej.

JAROMIR OCHĘDUSZKO

# STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE

*(Dokończenie)*

## 3. PRUSY, NIEMCY I POLSKA

Badając źródła i napięcia zagadnienia polsko-niemieckiego, trzeba — by wyciągnąć z przedstawionych tu zjawisk wnioski trwałe i jasne — stwierdzić stanowczo, iż w perspektywie historycznej istnieje jedynie zagadnienie polsko-pruskie. Gdyby świadomość tego wcześniej dotarła do szerokich kół społeczeństwa polskiego, dawno już zredukowałaby zagadnienie polsko-niemieckie do jego właściwych rozmiarów, oczyszczając atmosferę „dziejowego konfliktu" między obu narodami z wszelkiej namiętności i wewnętrznych uprzedzeń w traktowaniu zagadnień politycznych. Nie jesteśmy w stanie przedstawić tutaj wszystkich argumentów historycznych, uzasadniających słuszność wykreślenia z terminologji politycznej słów „chroniczny konflikt polsko-niemiecki" i zastąpienia ich słuszniejszem określeniem: „spór polsko-pruski"; dlatego nie zamierzamy wywlekać tu na światło dzienne przykładów dobrego porozumienia polsko-niemieckiego z odległej przeszłości — z okresu, kiedy Polska zwycięsko broniła naród niemiecki przed pruskim zalewem, kiedy z głębi Niemiec odezwały się głosy protestu przeciwko inwazji szwedzkiej oraz brandenburskiemu w niej uczestnictwu, kiedy wreszcie Mitzler de Koloff wydawał w Warszawie „Warschauer Bibliothek", celem zapoznania Niemców z literaturą polską. Wystarczy nam zwrócić uwagę na fakt niejednokrotnie stwierdzany — na istnienie, równocześnie z pruską „polityką zaciśniętej pięści i kolczastego drutu" z zeszłego stulecia, głębokiej i szczerej sympatji społeczeństwa niemieckiego dla Polaków. Epoka ta o tyle jest charakterystyczna, że poprzedza bezpośrednio kształtowanie się losów narodu niemieckiego pod przemożnym wpływem dyktatury ideologicznej Bismarcka

i historjozoficznych sugestyj à la Stenzel [9]). Ten wzgląd każe polonofilskie nastroje społeczeństwa niemieckiego owej epoki uważać za bezwzględnie szczery objaw psychiki narodu niemieckiego. Dopiero jego całkowite poddanie się pod jarzmo pruskich władców, dużych i małych Bismarcków i Bülowów, wtedy, gdy nad własną wolą narodu poczęła górować wola panującego — pro-polskie sympatje schowane zostają starannie pod korzec, przykryty pyłem zapomnienia bezpowrotnych, zda się, czasów. Herman Hoetschke przedstawił i uplastycznił je później w obszernej pracy [10]), poświęconej ewolucji przyjaznych dla Polski tendencyj w dawnych Niemczech.

Żaden wypadek historyczny w XIX w. nie wzbudził w Niemczech takiej sympatji dla Polski, jak powstanie 1831 r. W królestwie saskiem i w zachodnich państwach niemieckich witano entuzjastycznie emigrantów polskich przy dźwiękach melodji „Jeszcze Polska nie zginęła". Coprawda, działo się to wszystko na terenie południowych i zachodnich Niemiec. Rząd pruski bowiem — wbrew wolnościowym tendencjom, istniejącym w społeczeństwie niemieckiem — w tym samym czasie deklarował wobec posła francuskiego w Berlinie: „Prusy oświadczają, że życzą zwycięstwa Rosji i użyją wszystkich środków, stojących do ich dyspozycji, by do tego dopomóc, ponieważ Polska w razie odzyskania niepodległości odebrałaby z powrotem W. Ks. Poznańskie, Toruń i Gdańsk" [11]). W tym kierunku szedł coraz szerszą drogą anty- i pro-polski paralelizm w 50-tych latach w. XIX-go, w tym też kierunku rozchodzą się wola narodu niemieckiego i polityka pruskich klas panujących.

Na podłożu pro-polskich sympatyj, jak podaje Treitschke, tworzy się pierwszy zalążek przyszłej opozycji liberalnej. Były to pierwszorzędne gwiazdy intelektualizmu niemieckiego; von Chamisso, L. Uland, Laube, autor pracy o upadku Polski, Raumer, M. Hartmann i inni. W poezji niemieckiej powstają słynne „Polenlieder" — wiersze, poświęcone polskiej martyrologji. Zjawisko to powtarza się w tem samem natężeniu w r. 1848. W parlamencie frankfurckim „krzycząca niesprawiedliwość podziału Polski" była niejednokrotnie przedmiotem namiętnej polemiki i żywiołowej sympatji dla Polski. Bethmann-Hollweg, ojciec późniejszego kanclerza Niemiec, wydaje pismo *Deutsch-französische Jahrbücher,* w którem propaguje odbudowę Polski.

---

[9]) Głośny historyk państwa pruskiego, autor dzieła Geschichte des preussischen Staates (Hamburg, 1837), w którem już przed stu zgórą laty sformułował tezy pruskiej polityki względem Polski, twierdząc, iż „jest rzeczą niewątpliwą, że albo niemieckie Prusy albo słowiańska Polska musiały ulec w walce", że „monarchja pruska i Rzeczpospolita Polska nie mogły obok siebie istnieć".

[10]) Die Deutsche Polenfreundschaft. Berlin, 1921.

[11]) „Artenstücke und Belge über den Bruch der Neutralität Preussens gegen Polen" (1832).

Ferdynand Lassal pisze później znaną broszurę *Was nun?*, w której problem zjednoczenia Niemiec wiąże nierozerwalnie z kwestją niepodległości Polski. Również powstanie styczniowe wysuwa sprawę polską na wokandę opinji publicznej, wywołując dla nas w Niemczech, a nawet w Prusiech, falę gorących uczuć.

Znane jest z tego okresu wystąpienie w pruskiej Izbie Posłów znakomitego historyka niemieckiego, Henryka von Sybel, który w ostrych słowach zaatakował prezesa pruskiej Rady Ministrów za stanowisko wobec powstańców polskich. I znów, jak przedtem, rząd pruski zajął tu takie samo stanowisko, jak w czasie powstania listopadowego, popierając armję rosyjską materjałem wojennym, żywnością i sztabem oficerów. Dn. 18 lutego 1863 r. gen. von Alvensleben zawiera imieniem rządu pruskiego konwencję z władzami rosyjskiemi w celu wzajemnego popierania się w prześladowaniu powstańców. Bismarck fakt ten usiłował zatrzymać w tajemnicy; jednak, interpelowany w tej sprawie w sejmie, występuje przeciw „skłonnościom" do zbytniego przejmowania się losami innych narodów. „Proponuję wam, Panowie, wyrażenie sympatji dla powstania, na którego czele stoi Mierosławski. Nie ulega wątpliwości, że sąsiedztwo Aleksandra jest dla Prus bardziej pożądane, niż sąsiedztwo Mierosławskiego" [12]). Słowa te nie wymagają chyba żadnych komentarzy. W ten sposób wystąpienie Henryka von Sybel jeszcze raz, a zarazem po raz ostatni, odsłoniło olbrzymią przepaść, istniejącą między mentalnością narodu niemieckiego a polską polityką Prus. Fakty te posiadają swoją doniosłość: pozwalają one na głęboki rzut oka w niezbadaną krainę psychiki prusko-niemieckiej. Rozumie się samo przez się, iż błędne i niesprawiedliwe byłoby utożsamianie narodu niemieckiego jako całości z tem, co zaszło — tembardziej iż, narzucając swoją własną wolę szerokim warstwom niemieckim, nim dojrzały one do czynu, decydująca kasta pruska skrępowała ich rozum polityczny. Wraz z gwałtowną przemianą ustroju wewnętrznego Niemiec zaczęła swój żywot dyktowana z góry ideologja niemieckiego „poddanego". Wprawdzie w żadnym wypadku nie broni to narodu niemieckiego od zarzutów, iż z bezgraniczną rozkoszą włożył głowę swoją pod jarzmo panowania Hohenzollernów. Potrzebny jest dystans całych dziesiątków lat, aby Niemiec zdał sobie sprawę z owej *die tragoedie Deutschlands*. Tu leżą ukryte sprężyny ewolucji polityki niemieckiej wobec Europy i Polski.

Odtąd — trudno się dziwić — kakofonja w partyturze stosunków polsko - niemieckich staje się stałą i niezmienną cechą taktyki rządów pru-

---

[12]) **Wacław Schmidt:** Prusy i Niemcy między Wschodem i Zachodem.

skich. Koszmarne fatum Bismarcka ukazuje pieczęć, która jest (a przynajmniej powinna być) jednolicie wyciśnięta na formach współżycia Polski i Niemiec. „Bić trzeba Polaków, aż żyć im się odechce. Mam współczucie dla ich nieszczęsnego położenia, ale jeśli nie chcemy sami zginąć, musimy ich zniszczyć. I wilk jest przez Boga stworzony, a jednak zabija się go gdy tylko można“ [13]). Słowa powyższe, napisane w liście z Petersburga 26 marca 1861 roku do siostry Malwiny von Arnim, ilustrują nam nietylko cele i metody polskiej polityki „żelaznego kanclerza“: prąd ten niesie prawie wszystkich następnych przewódców życia politycznego Niemiec. Wyszli oni — że wymienię tylko czołowych jego przedstawicieli — ze staro-pruskiej organizacji zaborczej i militarnej: Bülow, Caprivi, Wilhelm, Hindenburg, Ludendorff, hr. von Brockdorff - Rantzau, Stresemann, Brünning i inni. Teraz też, bez osłonek, polityczny program działań Prus w stosunku do Polski, pogłębiany systematycznie w drugiej połowie XIX-go i początkach XX-go w., okazuje swoje jasno wyrzeźbione rysy. Na zaborach ugruntowały Prusy swą wielkość w przeszłości, przez kontynuowanie tej polityki zamierzały dojść do szczytu potęgi europejskiej. „Przedkładałem cesarzowi wielokrotnie, — pisze w swych pamiętnikach Bülow, — że państwo polskie w sąsiedztwie naszej granicy wschodniej oznaczałoby stworzenie naturalnego sojusznika naszych zachodnich wrogów, a armja polska w Warszawie oznaczałaby to samo, co wojska francuskie na naszem skrzydle wschodniem“ [14]). Wiara w słuszność tego twierdzenia tak głęboko zakorzeniła się w sercach i umysłach, że choć Niemcy w traktacie wersalskim uznały „całkowitą niepodległość Polski“, uznanie to do niedawna nie było moralnie ratyfikowane. Pod płaszczykiem „Kulturmission im Osten“ reaktywowano powoli i systematycznie dawną wschodnią imperjalistyczną politykę Prus. W miejsce wilhelmowskiego hasła: „Die Zukunft des Deutschen Volkes liegt auf dem Wasser“ wysunięto hasło o równie pociągającym masy ładunku emocjonalnym: „Der Osten Deutschlands Zukunft“ — „Wschód przyszłością Niemiec“. Niemcy pragnęły powrócić do dawnych zasad polityki rosyjskiej, stosowanych przez Bismarcka, t. j. do penetracji pokojowej w Rosji i do porozumienia politycznego, skierowanego przeciwko Polsce. Takie nastawienie polityczne (podkreślamy grubą kreską) odpowiada tendencjom obozu pruskiego z przed wojny: z jednej strony — orjentacja ku wschodniej Rosji i związana z tem antypolska polityka, z drugiej — niechęć, nieomal pogarda dla Rzeszy, której forma nie odpowiadała imperjalistycznym zapędom Prus. Przebija to z oświadczeń Hergta, do r. 1928 wice-kanclerza Rzeszy Niemieckiej, który, zapytany o konsekwencje puczu Kappa, z całym spokojem oświadczył, iż „mocne państwo

[13]) **K. Smogorzewski,** paryska „La Pologne“, luty, 1934

[14]) Denkwürdigkeiten, t. I.

wschodnie prawdopodobnie będzie dla dalszej niemieckiej przyszłości ważniejsze niż te Niemcy, które i tak pójdą w gruzy“ [15]). Urzeczywistnienie niemieckiej misji na Wschodzie, zaprawionej elementem o charakterze mistycznym, ma stanowić główny cel, jaki ma do spełnienia naród niemiecki. Korzeni tej mistyki doszukać się można u Hegla, który wywarł wielki wpływ na ukształtowanie się światopoglądu niemieckiego. „Wzrok Prus, ich polityków kierowany był zawsze na Wschód. Stwierdzali oni zgodnie, iż utrzymanie *status quo* na Wschodzie zadecyduje nietylko o losie Niemców, lecz także o przyszłości Prus, Rzeszy i Świata Niemieckiego“. Podobną opinję wypowiada Stresemann: „Trzecim wielkim egzaminem dojrzałości narodu niemieckiego jako państwa w dziejach świata będzie stwierdzenie, czy Niemcy będą umiały utrzymać i zapewnić sobie Wschód, a temsamem źródło swej potęgi mocarstwowej“.

Rozwój wypadków politycznych w Rzeszy wskazywał, iż stara się ona kroczyć w tym kierunku stale i konsekwentnie. Główną przeszkodę spotykają Niemcy w postaci odrodzonego Państwa Polskiego. A więc naprzód rząd Fehrenbach — Simons w r. 1920 usiłował „wysuszyć“ nas metodą bojkotu gospodarczego. Pomimo różnego rodzaju trudności, Państwo Polskie trwało i wzmacniało się. Równocześnie w dziedzinie bezpośrednich interesów nastąpiło zmniejszenie się wpływów ekonomicznych Niemiec i cofanie się ich stanu posiadania w Polsce. Następnie w r. 1925 rząd Luther — Stresemann uderzył w nas „wojną“ celną, która zresztą nie mniejsze szkody przyniosła przemysłowi niemieckiemu, zmuszając Polskę do szukania bezpośrednich stosunków gospodarczych z innemi krajami. Stopniowo rola handlu niemieckiego została zredukowana do poziomu zbliżonego do innych państw: Polska uniezależniła się dzisiaj, — mówił wówczas najprzenikliwszy znawca stosunków europejskich w Ameryce, Frank Simons, — zarówno od swych przyjaciół jak i od swoich wrogów. Może ona być pokonana w wojnie, ale pokojowy podział Polski jest niemożliwy“.

Oto dlaczego ostatni rząd parlamentarny Republiki Weimarskiej, rząd Hermana Müllera, zawarł z Polską w r. 1930 traktat handlowy. Niestety — następca jego, kanclerz Brünning, snując własne „wielkie plany“ rewizji granic Polski, o co zabiegał w Londynie, Rzymie i Paryżu, pogrzebał sprawę jego ratyfikacji. Propaganda rewizjonistyczna ogromnie wzmogła się na sile. Wokół tej sprawy Niemcy rozpętali wewnątrz kraju taką burzę, że dobrowolne cofnięcie się, celem uzyskania pewnych koncesyj natury prawnopolitycznej, wydawało się mało prawdopodobne. W pierwszym propagando-

---

[15]) **Emil Ruecker:** Rzesza Niemiecka a Prusy. „Przegląd Współczesny“, 1928, sierpień.

wym numerze pisma *Der Korridor*, wydanym z okazji wystawy w Berlinie poświęconej Prusom Wschodnim, radca regencyjny Hoffmann pisał: „Nie możemy sobie wyobrazić, aby decyzja w sprawie granic wschodnich mogła być nadal odsuwana". Istotnie, Niemcy postawiły sobie za cel swojej polityki zmianę granic wschodnich. Ale jest to słuszne w tem znaczeniu, iż odpowiadała ona zamierzeniom tylko części narodu niemieckiego. Pesymizm byłby tu niezupełnie uzasadniony.

Aczkolwiek niektórzy publicyści i politycy szukają wyjaśnienia źródeł tej polityki i jej prototypu w charakterystyce Fausta: „Ich habe nur begehrt und nur vollbracht und abermals gewünscht, um so mit Macht mein Leben durchgestürmt..., unbefriedigt jeden Augenblick" — okazuje się, że kłamliwa i napastliwa propaganda, która lała się długie lata strumieniami przez Niemcy, cienką patyną pokryła świadomość narodu niemieckiego, że im dalej od „płonącej" granicy wschodniej, od politycznych koncepcyj brzuchomówców ze staropruskiej garkuchni, tem mniejsze znajdowała ona zrozumienie. Powtóre — wynika to poniekąd z pewnych cech charakteru niemieckiego. W Niemczech niema przecież opinji publicznej w dosłownem znaczeniu. Niemiec umie doskonale przystosować się (na co zwrócił już uwagę modny obecnie filozof niemiecki, Hermann von Keyserling) do każdej sytuacji, ma dużą zdolność akomodacji. Choć odnosi się do pewnych tendencyj negatywnie, nie potrafi się im przeciwstawić, stworzyć progu, przed którym zatrzymać musi się właśnie dalsze ich rozprzestrzenianie. Że rewolucja 1918 r. nie wywołała żadnego entuzjazmu, ani jednego słowa które pozostaje, ani jednego wielkiego męża stanu — dziwić się temu w tym stanie rzeczy trudno. Stąd — jeśli Niemiec przyłącza się do jakiegoś obozu, to widzieć w tem należy nietyle wyraz jego głębokich przekonań (co przez mimikrę, zapomocą hałaśliwie stosowanych schematów myślowych, pragnie za to uchodzić), ile obawę przed ideowem odosobnieniem. Wobec tego jasne było, że dopiero mocny i zdecydowany rząd niemiecki może położyć kres antypolskiej kampanji kalumnjatorskiej, którą przez wiek przeszło Królestwo Pruskie uważało za swoje najszlachetniejsze zadanie, i ułatwić temsamem zbliżenie między obu narodami.

Wygładzenie tafli wzburzonych dotąd wód spraw wewnętrznych nastręczało pewne trudności natury emocjonalnej; N. S. D. A. P., dochodząc do władzy, nie mogła narazić się na zarzut, że z czegoś tam rezygnuje — zwłaszcza gdy stanowisko Niemiec na wschodzie uświęcone było już nieomal tradycją wieków. Zdawało się, że bismarckowski „polonizm" mas niemieckich zginąć nigdy nie może, że należy uczynić z niego psychologiczną podstawę obcowania obu narodów. Gustaw Feder — główny, dziś odsunięty kodyfikator ideologji hitleryzmu, nawiązując do tej tradycji, wymienia Polskę

jako jedno z państw, posiadających „ziemie niemieckie", z których narodowi socjaliści nigdy nie zrezygnują. Podobnie pisał Rosenberg w r. 1933 w broszurze *Das Wesensgefüge des National-sozialismus:* „Kto nie widzi w Polsce śmiertelnego wroga, ten wykreśla z historji Niemiec wiele lat ofiar i rezygnuje ze zwycięstwa". Rewolucja narodowo - socjalistyczna w Niemczech groziła wyładowaniem się namiętności nacjonalistycznych w awanturze wojennej. Fatamorgana „krwawiącej granicy wschodniej" wprowadzała niemiecką ludność Prus Wschodnich w stan wielkiego podniecenia; karkołomna ekwilibrystyka rewizjonistycznej propagandy wskazywała, że na „coś" się zanosiło.

To właśnie niebezpieczeństwo zadecydowało, iż Polska nie mogła patrzeć obojętnie na płonące na zachodnich wałach granicznych żagwie wojenne. Rzeczą najgorszą dla każdej, a więc i dla naszej polityki, był stan półwojenny na tej lub innej granicy. To też trzeba było naszym zachodnim sąsiadom unaocznić, że stan podobny na dłuższą metę istnieć nie może. W tej właśnie intencji padły z trybuny sejmowej 15 lutego 1933 r. pełne godności i umiaru słowa min. Becka, uzależniające nasz stosunek do Niemiec od ich stosunku do Polski: „W praktyce więcej w tej dziedzinie zależy od Berlina, niż od Warszawy". I wówczas to nastąpiło wzmocnienie oddziału wojska polskiego na Westerplatte w Gdańsku. O fakcie tym naogół zapomina się przy ocenie dalszych wypadków w polityce polsko - niemieckiej. Westerplatte stanowiło, z jednej strony, przestrogę, z drugiej — zmuszenie innych państw do wyboru między wojną a pokojem. Pokój wybrała przedewszystkiem niemiecka Reichswehra, która powstrzymała hitleryzm przed rozpętanemi marzeniami o wojnie, o ile istniały one w pewnych egzaltowanych kołach, do których wtedy kanclerz Hitler już nie należał. To też, skoro próba z Westerplatte wywołała w praktyce politycznej takie a nie inne reakcje, Polska nie mogła nie przyjąć propozycji odprężenia, jaką jej postawiono w Berlinie. Kanclerz Hitler w wywiadzie z przedstawicielem *Daily Mail,* Ward Percem (w październiku 1933 r.), oświadczył, iż „żaden człowiek o zdrowym rozsądku nie uważa stworzenia korytarza za szczęśliwy pomysł Konferencji Pokojowej", ale „nikt w Niemczech nie chce wojny z Polską o korytarz"; obie strony „powinny omawiać bez namiętności interesujące je sprawy".

Stwierdzenie tego jest niezmiernie ważne dla rozwoju wypadków na forum stosunków polsko - niemieckich. Przyjęty przez kanclerza Hitlera w dniu 12 listopada 1933 r. poseł polski w Berlinie, Józef Lipski, podkreślił na wstępie, iż dotychczasowe enuncjacje Führera sprzyjają oczyszczeniu atmosfery między obu narodami, ale jeśli węzły te mają być połączone w sieć wzajemnego stosunku i zaufania — droga do dalszych kroków nie może być

zamknięta. Wydany po tej rozmowie komunikat stwierdzał zgodny zamiar Rządów polskiego i niemieckiego traktowania w drodze bezpośredniej spraw, dotyczących obu krajów, oraz wyrzeczenia się w stosunkach wzajemnych używania przemocy. Stosownie do tych oświadczeń, oba rządy podjęły ostateczne rokowania na temat wiążącego porozumienia, dotyczącego przyszłego kształtowania się wzajemnych stosunków. Dn. 18 stycznia poseł Lipski otrzymał placet Marszałka Piłsudskiego na przedłożony mu projekt paktu polsko - niemieckiego. Wkońcu — prowadzone w szybkiem tempie negocjacje doprowadziły do podpisania dn. 26 stycznia 1934 r. w Berlinie „deklaracji polsko - niemieckiej (taki jest tytuł urzędowy) o niestosowaniu przemocy".

Fakt zawarcia powyższej umowy, tak zasadniczej w stosunkach między Polską i Niemcami, naogół wszędzie przyjęty został z wielkiem zadowoleniem, jako poważny krok ku utrwaleniu głównych podstaw pokoju. Nie będziemy wchodzili w to, kto wyciągnął z tej polityki większe korzyści: Wladimir d'Ormesson na łamach *Revue de Paris* dowodził, że Polska. Sądzimy, że korzyści są obopólne: dla Rzeszy układ ten przerywał krąg odosobnienia, w którym znalazł się narodowy socjalizm; dla Polski oznaczał on zakończenie kampanji za rewizją granic, podlanej sosem na szeroką skalę zakrojonych kłamstw i inwektyw. Wszczęcie nanowo tej akcji będzie obecnie bardzo utrudnione. Ale to jeszcze nie wszystko. Pakt o nieagresji przełamał w Niemczech ważny moment psychologiczny, stanowiący kamień węgielny zagadnienia polsko - niemieckiego, moment, przed którym sprawy merytoryczne ustępują o tyle, że po większej części są one tylko jego konsekwencjami: *Niemcy od tej chwili nauczyły się patrzeć na Polskę jako na równouprawnionego partnera, nauczyły się rozmawiać z Polską o wszystkich sprawach na stopie równości.* Rzesza przez zawarcie układu z Polską uznała ją po raz pierwszy za mocarstwo, prowadzące zdecydowaną i samodzielną politykę. Tak więc, porzucono wreszcie wszystkie rosyjskie kalkulacje uczniów pułkownika Nicolai w sprawie zagadnień, interesujących oba narody. Zrozumiano, że wciągnięcie „niedźwiedzia sowieckiego" na śliski parkiet spraw lokalno-europejskich skończyćby się musiało ponownie pod jakimś niemieckim Tannenbergiem. Oczywiście, nie prorokujemy z apodyktyczną pewnością, że polityka niemiecka będzie istotnie i na dłuższy czas umiarkowana, pokojowa i objektywna wobec Polski.

Przyszłość stosunków polsko-niemieckich zależy w dużej mierze od tego, jak głęboko Trzecia Rzesza przezwyciężyła w sobie psychologiczne obciążenie Prus; w miarę jak słabnąć będzie dyktatura Prus w Rzeszy Niemieckiej, spory polsko-niemieckie w sposób jaknajbardziej logiczny tracić będą swój groźny dla całych Niemiec charakter. Już ta jedna wskazówka

usprawiedliwia najbaczniejsze śledzenie ewolucji stanowiska Prus w Rzeszy, ewolucji, wokoło której koncentrują się obecne tendencje reformatorskie, dotyczące dzisiejszego ustroju Niemiec. Omówione tu poprzednio, są one niezaprzeczalnym symptomatem likwidacji partykularyzmów z ich głównym ośrodkiem w Prusiech, obejmującym głównie staro-pruskie junkierstwo i poprzez realizację idei unifikacji Rzeszy prowadzą do państwa totalitarnego. O tej akcji świadczy nierozpisanie w r. 1934 wyborów do sejmów krajowych, a także powołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych autora książki *Zasady przyszłej konstytucji*, Prezydenta Regencji Nicolai'a. Świadczy o tem również nowy podział Rzeszy na szereg prowincyj z namiestnikami wyznaczonymi przez rząd centralny. Trudno wątpić, iż przeobrażenia wewnętrzne w Rzeszy wycisnęły piętno na jej polityce zewnętrznej; z dużą dozą pewności można zaryzykować twierdzenie, iż układ polsko-niemiecki stanowi bodajże pierwszą ich konsekwencję. I dlatego szerokie warstwy naszego narodu uczyć się muszą rozumieć dwojaki charakter problemu polsko-niemieckiego, a także odpowiednio nań reagować. Nie należy przeoczać drogowskazu na rozstajnych drogach historji.

KAZIMIERZ WYKA

# ANDRZEJ MAUROIS CZYLI TRWAŁOŚĆ RELATYWIZMU

Najbardziej u nas znaną książką Andrzeja Maurois są z wszelką pewnością *Klimaty*. Dla kogoś, kto bliżej obserwuje ewolucję Maurois, powieść ta posiada znaczenie nie tyle książki reprezentatywnej, ile, żeby tak rzec, węzłowej. Tu bowiem kończy się ostatecznie Maurois pierwszy, a zaczyna Maurois drugi. Naturalnie, ci dwaj ludzie byli w nim zawsze, górowało jednak to, co stanowić będzie niezaprzeczoną nowość i wartość, jaką Maurois niósł z sobą, w cieniu natomiast pozostawało to, co po *Klimatach* i w nich samych wzięło górę. Będzie nam szło tylko o zasadniczą postawę Maurois wobec rzeczywistości, jaką starał się on tłumaczyć w terminach filozofującej refleksji. Maurois pierwszy nie stawiał sobie pytań bardzo różnych od tych, jakie stawia sobie drugi. Różne są tylko rozwiązania. Pytania te dotyczyły i dotyczą stosunku refleksji do czynu, oraz pewności poznania, jaką intelekt nam dać może. Myśl zawsze podsuwa szereg rozwiązań równie z jej stanowiska uprawnionych. Im dalej idzie zgłębianie ich, tem silniejsza okazuje się niemożność wyboru. Widzenie rzeczywistości, jakie posiadamy, nigdy nie jest jedno, nigdy nie mamy jednej prawdy psychologicznej o sobie i drugich, lecz zawsze ich wielość, równie w pewnym sensie prawdziwych. Nie posiadamy tutaj „poznania bezpośredniego, głębokiego". Gdzie zatem możliwość decyzji, wyboru, na czem się ona opiera?

Maurois pierwszy odpowiadał, że jest nią czyn, że jest nią intuicja, która tak a nie inaczej nakazuje postąpić. Czyn wprowadza pierwiastek zdecydowanej kierunkowości, jakiego nie posiadaliśmy, zdani na siły samej refleksji. Decyzja zaś rodząca akt czynny wynika nie z analizy refleksyjnej, lecz z intuicji rzeczywistości. Ze zmierzenia się z oporem rzeczywistości, z szczegółowego „wejścia w teren", poznania tego, co każda sytuacja ma no-

wego, nieprzenośnego w formie pojęć ogólnych. Prawdziwe poznanie, z jakiego rodzi się czyn, „jest tak bezpośrednie, tak bogate w szczegóły, że nie da się go przełożyć w zdania. Jest olbrzymią i jakby żywą całością, której niesposób przekazać, jak tylko poprzez decyzje, tryskające z niej, jak błyskawice z burzliwej chmury“ *(Dialogues sur le commandement).*

W drugim tomie *Nocy i dni* jest scenka, która doskonale to objaśnia i napewno bardzoby się dawnemu Maurois spodobała. Szymszelowi przepadł owies. Trzeba było przybronować — poucza go Bogumił. Przybronowałem. „Więc trzeba go było nie bronować. Nie wyjaśnił tej rzeczy bliżej. Tego żadne wyjaśnienie, żadna książka i żadna rada nie nauczy. Trzeba naoślep, a jednak bez omyłki ,z siebie samego wiedzieć, czego potrzebuje wschodzący owies“. — Idzie zatem o giętkość wobec rzeczywistości, o nieoperowanie sztywnemi, zawsze ważnemi pojęciami, lecz decyzjami, jakie się stają w miarę narastania danych rzeczywistych. Jedno więcej zastosowanie bergsonizmu jako metody działania: unikanie skostnienia intelektualnego, urobionego na pewnym tylko odcinku faktów, lecz tracącego swą moc po przeniesieniu na inny zakres faktów.

Z takich właśnie odpowiedzi powstały najlepsze książki Maurois, z niemi również spokrewniona była jego teorja biografji. Motywy naturalnie były w niej rozmaitego rzędu, lecz jednym z podstawowych była taka właśnie czynna pokora wobec rzeczywistości. Podczas gdy powieść nie jest niczem skrępowana, biografja otrzymuje gotowe już rozwiązania czynne, fakty, jakie musimy tak uznać, jak człowiek czynu coraz to nowe rewelacje życia. I teraz przez prześledzenie dróg tych rozwiązań poznać siebie, poznać dalej, na czem polegała dana postawa, której już zmienić nie możemy.

Więc to był Maurois pierwszy, autor *Aspects de la biographie, Lyautey'a, Byrona, Dialogues sur le commandement* czy takiej nawet drobnostki jak *Voyage au pays des Articoles.* Lecz psychologiczny i poznawczy relatywizm, na który dotąd Maurois dawał podobną odpowiedź, z niespodziewaną siłą trysnął w *Klimatach.* Efektownej tezie tego relatywizmu zawdzięczała ta powieść swój rozgłos. Co dalej ważne, od tej pory w essejach Maurois poczyna coraz silniej brać górę niemożność odpowiedzi takich, jakie dotąd otrzymywaliśmy. Rozwiązanie przez czyn, przez intuicyjną decyzję zostaje odsunięte na bok, sam problem zaczyna zresztą wyglądać inaczej i zagarniać nowe pola myślenia.

Siła obecna Maurois to bardzo francuska i sprawna dyscyplina intelektualna. Będzie to zarówno dyscyplina sztuki pisarskiej, doskonała znajomość rzemiosła i świadomy do niego stosunek, co dyscyplina ciągle szukającej i chłonnej myśli. Ta stała kontrolująca obecność refleksji jest zarazem, jak to zawsze z wadami i zaletami bywa, słabością. Słabość leży w nie-

zmiernie charakterystycznych granicach tej refleksji. Jest to zarazem słabość pewnego typu myślenia. Typu, związanego w sposób niedwuznaczny z określonem podłożem społecznem i wyrażającego cechy tego podłoża w ciekawy sposób. Określimy to w zakończeniu bliżej. Narazie stwierdźmy, że cały świat uczuć, namiętności, a jednocześnie wszelkie możliwości form życiowych, któreby — powiedzmy to z miejsca — wykraczały poza krąg tego, co dała ewolucja republikańskiego liberalizmu francuskiego, wszystko to dla Maurois nie istnieje. Świat tej refleksji, zamknięty i ograniczony, jest przetrawionym myślowo materjałem przeszłości. Kryzys obecny jest dla Maurois typowym kryzysem cyklicznym; w „pięcioaktowej tragikomedji" *Crise cyclique* (tom *Mes songes que voici)* opowiada w akcie piątym, jak to naturalną i swobodną grą sił powróci pewnego dnia pełna pomyślność aktu pierwszego, jak koło zmiany zamknie się samo. Przyszłość Rosji przedstawia mu się tak, że pod koniec XX wieku bolszewicy odkryją czar własności prywatnej i gospodarki indywidualnej, odkrywszy zaś je, zwolna nawrócą do form życia kapitalistyczno-indywidualistycznego. Koło znowu się zamknie, naturalnie na stanie bardzo zbliżonym do Francji obecnej, i Maurois zdaje się pytać: poco było robić rewolucję? Mimowoli przypominają się doskonałe słowa Arnaud Dandieu *(La révolution nécessaire)* o burżuazyjnych konserwatystach rewolucji francuskiej, którzy chętnie w niej widzą coś w rodzaju szczepienia ochronnego, jakiego opatrzność, oświecona opiekunka Francji, dokonała u wstępu do czasów współczesnych, by zapobiec dalszym, niebezpieczniejszym zboczeniom.

Po wstępnej idą słabości dalsze. W obrębie bowiem tego zasięgu możliwych zmian panuje zupełny relatywizm. Płynność form, zmienność stanów. relatywizm etyczny i społeczny. Formy gospodarcze i ustrojowe są tylko fikcją użyteczną. Tylko ich użyteczność, nie żadna wartość ogólna, każe je uznać. U Maurois dokonuje się przejście od dawnego intuicjonizmu spod znaku Bergsona pod znak Valéry'ego. Mała, ale cenna jest w tym względzie książeczka *Introduction à la méthode de Paul Valéry,* będąca na wzór tegoż Valéry'ego *Introduction à la méthode de Léonard de Vinci,* wyznaniem o samym sobie, opowieścią myślową o indywidualnych strapieniach filozoficznych. Zanika poprostu możliwość rozwiązań dotychczasowych, jakie nie ostają się przed wyostrzoną nowemi wzorami analizą.

Z relatywizmem tym łączy się zrezygnowany pesymizm. Wszystko, co wydaje się nam stałe lub prawdziwe, jest chwiejną iluzją i majakiem, jaki minie. Obecne wyznanie wiary, które w chwili szczerego rozrachunku z samym sobą Maurois rzuca, brzmi *(Mes songes que voici):* „Wierzę, że świat pozorów jest jedynym światem, jaki kiedykolwiek poznamy, że umysł nasz nie może osiągnąć istotnej, odrębnej od tych pozorów rzeczywistości, że zresztą nieuchwytna jest dla nas sama natura rzeczywistości takiej i że dla

człowieka jedyną rzeczywistością są cienie na ścianach jaskini, takie, jakiemi je on czy inni ludzie dostrzegli.

Wierzę, że pośród tych cieni mądrość ludzka odkryła pewne stosunki, które wydają się stałe, że wiele z nich podlega prawom, być może tylko statystycznym, lecz wiernym, jakie w coraz większej, wieczyście nikłej mierze, pozwalają odgadywać i tworzyć przyszłość. Inne cienie wymykają się umysłowi i tylko serce ująć je może. Inne wreszcie poruszają się zdala od nas, w bezładzie, który nie przedstawia żadnego punktu uchwytu. Choroba i wojna powodują nieszczęścia tak straszliwe, że powinno się stać możliwe zjednoczenie ludzkości przeciw losom.

Wierzę, że człowiek odważny musi uznać hypotetyczny charakter wszelkiego poznania ludzkiego, a zarazem możność bezustannego poprawiania hypotezy przez opartą na doświadczeniu inteligencję, a to by hypotezę uczynić możliwie najbardziej podobną do ukrytego na zawsze modelu, którego poruszenia pozwala nam ona przewidywać.

Wierzę, że w obecnym stanie naszych wiadomości wola człowieka, wolna w obrębie ciasnych granic, w jakie zamykają ją siły od niej potężniejsze, jest przypuszczeniem koniecznem i prawdopodobnem. Wierzę, że człowiek może wziąć na siebie zobowiązania i dopełnić je, wierzę, że pod mechanicznem sklepieniem gwiazd winien, wedle najlepszej woli swojej, stwarzać względnie stałe społeczeństwa, podległe umowom uznanym za takie właśnie, czczonym jednak, ponieważ one jedne uspokajają i łagodzą dzikie i nieszczęśliwe zwierzę".

Błędne koło. Przekreślone zostają dawne możliwości wyjścia z niego. Przekreślony zostaje czyn, który od strony człowieka redukuje tę niewspółmierność między jego refleksją a rzeczywistością. Jednakowoż moralny i poznawczy pesymizm, widniejący w cytowanem wyznaniu, może być potężną siłą roztwórczą, może zarazem prawem oporu wskazywać, że nie wolno na nim poprzestać, jeśli chce się utrzymać pewne rzeczy stałe i bezwzględne.

Lecz taką siłą pesymizm Maurois nie jest. Ten relatywizm, mimo pozorów odmiennych, nie rozlewa się niewstrzymaną falą, lecz płynie dosyć ciasnem korytem, ograniczonem brzegami, których istnienie Maurois nie bardzo u siebie samego dostrzega. Pesymizm relatywistyczny jest tylko na powierzchni. W głębi niema go wcale. Zakres bowiem rzeczy względnych nie przechodzi u niego nigdy w możliwość przekreślenia tego, co dała dotychczasowa ewolucja historyczna Francji i Anglji — przekreślenia absolutnej wolności jednostkowej, prawa własności i t. d. Jeśli Maurois ocenia Rosję czy Stany Zjednoczone, to tylko przez przyporządkowanie ich w te ramy.

To relatywizm historyczny. Relatywizm poznawczy nie prowadzi znowuż nigdy do podważenia prymatu refleksji i intelektu, niweczących w systemie Maurois wszelkie irracjonalne głębsze przeżycia. A przecież spojrze-

nie pod kątem relatywizmu wtedy tylko jest prawdziwe i daje prawo do uzasadnionego pesymizmu, gdy w rachunku ogólnej względności przyjmuje się wartości ze znakiem minus wobec tego, co już było. Gdy własnemu stanowisku ten znak się stawia. Gdy przypuści się absolutną inność rzeczy. Relatywizm Maurois przyjmuje zmiany tylko powyżej zera. Nie podetnie nigdy gałęzi, na której siedzi. Smutek jest tu przeto łatwy i ciasny, ponieważ kryje w sobie równie ciasny optymizm. On jest zasadniczo podstawą. Wszystko się zmienia, *ale w granicach jakie nieświadomie uważam za stałe.* W granicach życiowych i myślowych form, jakie dadzą się wywieść z intelektualistycznego patrzenia na świat. W granicach zastygłej i zapatrzonej w nie refleksji.

Maurois niemożność utrzymania takiego stanowiska czuje doskonale i próbuje dwóch dróg wyjścia. Jedna była już w cytowanych wyznaniach, gdzieindziej formułowana brzmi: „Cały ruch umysłowy czasu naszego zmierza do uznania pewnych fikcyj, przyjętych jako fikcje". — „W moralności są pożyteczne nie reguły, jakie ona podaje, lecz *że* podaje reguły". Pozycja na dłuższą metę fałszywa. Jest tu zatrzymanie się w połowie drogi, niemożność wysnucia konsekwencyj, jakim zgodą uczuciową trzebaby przyświadczyć. Maurois jest zbyt inteligentny, by nie wiedział, że stanowczy relatywizm jest za łatwy. Wie, że nie mogą być bezwartościową dowolnością urządzenia i przekonania społeczne, które są pożyteczne tak dalece, że stają się prawdziwe. Lecz tu zatrzymuje się i poczyna palić przysłowiową świeczkę i ogarek. Są pożyteczne, więc należy je konserwować (świeczka), uznając zarazem że są dowolne (ogarek).

Tak nie można. Z chwilą gdy się stwierdziło ich użyteczność do prawdy prowadzącą, nie wolno się cofać. Najprostsza logika nakazuje właśnie uznać pewną zdecydowaną formę, dać jej uczucie, przekreślić całą drogę dojścia jako nieistotną z chwilą, gdy konsekwencja stała się prawdą. Stojąc tu, wolno nawet prowadzić walkę z etapami, po jakich się doszło — wolno, bo ma się prawdę. Zwłaszcza zaś z chwilą powstania silnego przytwierdzenia uczuciowego przestają ważyć przesłanki refleksji roztwórczej, albowiem wytworzyła się nowa jakość, której nie było, póki powodowaliśmy się refleksją samą. I ta jakość nietylko pozwala, lecz nakazuje przekreślić wszystko, co nią nie jest i co ją podważyć gotowe.

Maurois wskazuje jednak na drugą, stanowczo ciekawszą możliwość. Urządzenia nasze, moralność są konwencjami, mitem (używa on tego pojęcia w potocznem znaczeniu), lecz mit ten siłą trwania swego staje się naszą głęboką treścią, instynktem nieraz. I mit taki, przetworzony w instynkt, jest czemś najtrwalszem. Tak stało się — naprzykład — z uczuciami rodzinnemi, z wiernością małżeńską, które, będąc tylko umową, stały się najgłębszem prawem, instynktem, jaki otrzymujemy w skończonej formie i który tak

właśnie traktować musimy. „Społeczeństwo jest mitem, od którego można się wyzwolić. Lecz obraz społeczeństwa w każdym z nas nie jest mitem. Jest rzeczywistością niezniszczalną". — „Człowiek społeczny był fikcją, lecz z tej właśnie fikcji się on narodził".

Lecz żeby tak, żeby się zgodzić na stanowisko, że jednak istnieją instynktowne uczucia społeczne i moralne, trzeba istnienie ich czuć. Dojście drogą abstrakcyj nie przekonuje jeszcze, gdy skądinąd ciągle się podkreśla, że dla człowieka najbardziej konieczne jest to, co jest najbardziej dowolne. Matematyka jest najpewniejszym systemem prawd, ponieważ jej punkt wyjścia jest najbardziej dowolny, — powtarza za Valérym Maurois. Nawiasem mówiąc, brzmią tutaj, podobnie jak w uwydatnionej nieraz cykliczności dziania się dziejowego, silne echa filozofji J. B. Vico.

Maurois jednak przejścia tego nie czuje. Niezmiernie charakterystyczne w tej sprawie jest w tomie *L'Anglaise et d'autres femmes* opowiadanie *Morale publique et privée*. Rzecz dzieje się w czasie wojny światowej w obozie koncentracyjnym dla poddanych państw centralnych. W przymusowej bezczynności wśród spędzonych, obcych sobie ludzi rychło wynikają kłótnie i spory. Znajdujący się również w obozie filozof Kreutzberger każe się wybrać towarzyszom, nie wiedzącym do czego on zmierza, prezydentem Komitetu Obozu. Za zielonym stołem poczyna przyjmować skargi, wydawać wyroki. By nie brakło mu egzekutywy, poczciwy komendant obozu pozwala mu sprawić druki niby - urzędowe z odpowiednim tekstem. Kreutzberger „skoro tylko te świstki otrzymał, począł na nich zawiadamiać zainteresowanych o swych wyrokach. Później założył dla każdego z mieszkańców obozu kartotekę, wypełniając ją zapiskami, zeznaniami, skargami i odpowiedziami na skargi. Okładki w najrozmaitszych kolorach piętrzyły się na niemalowanych półkach, które cieśla - Węgier przymocował mu poza stołem. Gra została wygrana. Od tej chwili Prawa i Cnoty, które w wszystkich krajach są córkami Ceremonij, nabrały siły na tej opuszczonej wyspie. Kreutzberger zaś przyrzekł sobie, jeśli przeżyje wojnę, napisać wielkie dzieło o Ceremonjale, bez którego nie byłoby ludzi".

Powie ktoś, że to tylko żart. Mimowoli jednak przypomina się, jak np. Goetel umiał pokazać, że w podobnej sytuacji, w podobnem odcięciu od świata zrodzić się może małe społeczeństwo ludzkie. Zrodzić się nie z papierków, nie z ceremonij, lecz z niezniszczalnych i prostych uczuć społecznych: pragnienia pomocy, zbliżenia się, wspólności ludzkiej w obliczu przyrody i śmierci *(Schmerzenreich, Ludzkość)*. Goetel zatem posiadał to poczucie, tę ufność, której Maurois nie posiada. Bo chociaż powiada, że człowiek społeczny był fikcją, z której jednak naprawdę się narodził, ten człowiek w widzeniu życia przez Maurois jeszcze się nie narodził. Siły wiążące czło-

wieka są u niego przeważnie zewnętrzne wobec jednostki, ponad nią działające, a nie wynikające z niej. Dopiero ostatni tom Maurois *Sentiments et coutumes* świadczy o pewnem poniechaniu wybujałości szkicowanego tutaj stanowiska.

Taki jest „stan faktyczny", urzędowo mówiąc, obecnych idej Andrzeja Maurois. Jakaż tu ogromna zmiana w ciągu tych sześciu lat, gdy na łamach „Drogi" (marzec, 1929) pisał o nim Stefan Kołaczkowski, jako o „wyrazicielu prądów współczesnych", gdy nawołując do bliższego współżycia z Maurois, witał go formułą: „To jest właśnie jednym z rysów nowoczesnych Maurois, że jest „aktywistą". Jaźni swej, treści swego życia szuka właśnie w rezygnacji z kontemplowania i analizowania siebie dla służby czemuś, co go przerasta. Szczęście człowieka widzi nie w poszukiwaniu lub rozpamiętywaniu szczęścia, lecz w tem, do czego dochodzi się... przez wysiłek przezwyciężenia hedonizmu".

Obecnego Maurois mając przed oczyma, niesposób się zgodzić ani na jedno z określeń tych. Gdy naprzykład dzisiaj notuje on swe maksymy etyczne, brzmieć one będą *(Mes songes que voici,* s. 150): „Nie tłumaczyć się nigdy, nie żalić się nigdy. Życie jest zbyt krótkie, by mogło być małe. Nie żałować nigdy tego, co zmienić się już nie da. Wychodzić zawsze z sytuacji obecnej" — i w tym duchu dalej. Nie nienawidzieć nigdy, nie być niewolnikiem ambicyj i dalekosiężnych potrzeb. Maksymy oto, które mają wdzięk opanowania i skromności, lecz wdzięk smutny i zgaszony, w którym skrywa się słabość. Maksymy spokoju i równowagi, lecz nie tej, która płynie, jak pięknie gdzieś powiada Bogumił Niechcic, z wzięcia przeciwności w siebie i zapanowania nad niemi, lecz z usunięcia się na bok. I pokój znużenia, pasywizm życiowy.

A przecież cytowane określenia Kołaczkowskiego znakomicie się stosowały do Maurois dawnego — więc skąd ta zmiana? Trudno zgodzić się, by miał tu miejsce konflikt, o jakim opowiada — nawiasem mówiąc, nie uznający podkreślanej tutaj ewolucji pisarza — Louis Beirnaert, w bardzo zresztą wartościowem studjum *André Maurois et le problème de la vie (Etudes,* 20.I i 5.II.1934). Konflikt rzekomo stale u Maurois występujący między człowiekiem a myślicielem. Człowiek wierzy w nim w wartości bezwzględne: miłość, wiarę, odwagę, powstają zatem książki, jak *Lyautey, Dialogues sur le commandement;* myśliciel zaprzecza im, powiada, że wszystko jest względne, i co najgorsze, nie chce on na płyszczyźnie myśli dokonać narzucającej się rewizji relatywizmu, powstają znowuż esseje obecne.

Chyba nie to jest przyczyną. Maurois jest skończonym typem określonej warstwy społecznej. Mieszczanin, przemysłowiec, najpełniej wyraża on dzisiaj burżuazję francuską z jej stanowiskiem psycho-społecznem dały 1789.

„Andrzej Maurois to pisarz tej Francji, która głosuje za republikanami lewicowymi, jada kaczkę *à la rouennaise* i drzemie na przezornie okrytych pokrowcami fotelach" — powiada o nim złośliwie Erenburg *(Duhamel, Gide etc. vus par un écrivain d' U. R. S. S.)*. Lecz tej Francji coraz trudniej ostać się w świecie obecnym. Zmiany duchowe, jakie nadchodzą, są zaprzeczeniem jej dobrze zużytych ideałów, coraz mniej miejsca na racjonalizm etyczny, na indywidualizm, odcinający jednostkę tak od łączności z masą, jak metafizyką, bytem, Bogiem. W samej tej Francji jawi się znużenie, osamotnienie człowieka, który coraz mniej rozumie rzeczy, jakie wokół niego się dzieją. Etyczny i polityczny mistrz Maurois, Alain, jest bijącym przykładem tego znużenia, osłabienia aktywizmu. W poświęconych tej kwestji *Réflexions* w „Nouvelle Revue Française" (kwiecień, 1934) Albert Thibaudet świetnie zanalizował ten stan ducha, jaki ogarnia stary radykalizm republikański, wraz z jego pochodnemi artystycznemi. Bierność ,postawa czysto obronna, pacyfizm najszczerszy ludzi, którzy już nic do zdobycia nie mają.

Na to tło rzucona ewolucja Maurois nabiera szczególnego znaczenia. Rzeczą artysty jest przeczuwać i mówić prawdę swoją zawsze wcześniej. Jest zgodność tego upadku aktywizmu u Maurois, tego osłabienia wewnętrznego z rytmem francuskich przemian społecznych, coraz głębiej sięgających w idee i uczucia. Pień, lecz pień polityczny republikańskiego radykalizmu trwa jeszcze, podczas gdy schną gałęzie i owoce cierpną, świadcząc o zmianach, których pień nie czuje. Co ważne, owoce nie od niepogód zewnętrznych cierpną, lecz z braku soku ożywczego; gdy chce dziś kto mówić o zupełnem zestarzeniu się radykalizmu w jego szerokiem znaczeniu francuskiem, nie musi mówić, patrząc ze stanowiska innych doktryn. Nie trzeba krytyki od zewnątrz, była ona zresztą zawsze, wystarczy od wewnątrz, ze stanowiska jego przedstawicieli intelektualnych, by ujrzeć kruszenie się, rozsypkę... Objawia się to wzrostem dążeń hamujących z towarzyszeniem zaniku pragnień zdobywczych. „Nie nienawidzieć nigdy, nie żalić się nigdy". Wszystko jest tu już tylko formą obrony. Wmawianie sobie, że wszystko jest względne, więc w nic wierzyć nie muszę bezwzględnie. Zapomnienie, że w tym wypadku dlatego wszystko wydaje się zmienne, bo w nic się nie wierzy bezwzględnie. — To obrona przed myślą, że przecież inni wierzą, walczą, poświęcają się. — Jest tą formą pragnienie całkowitego spokoju życiowego, usuwanie z drogi najdrobniejszych cierni, niechęć do śmiałości uczuć, co tak uwydatniło się w *Instynkcie szczęścia*. To obrona przed tą resztą irracjonalizmu, jaką mogłoby przynieść życie rodzinne.

Lecz, jak widzieliśmy, znużenie to ma swój podkład społeczny; dwustronne otrzymujemy naświetlenie zagadnienia. Znużenie pisarza wskazuje na postępujące wyczerpanie starej klasy społecznej, wielkiego mieszczaństwa przemysłowego i ideologji, jaką ona zrodziła; wyczerpanie zaś to, nie-

możność powstania w Europie współczesnej warstwy, którąby wiązał jedynie racjonalizm i indywidualizm, wyjaśnia pesymizm i rezygnację mądrej jednostki, której jednak nie stać, by poszła gdzieindziej. Światła przecinają się, lecz nie znaczą drogi żadnej. Jest mrok nad upartym racjonalizmem, jest mrok przyszłości nad ludźmi, którzy nim jeszcze żyją. Przejrzysta i daleka od wielkiej sztuki wykrętów Gide'a twórczość Maurois jest w względzie tym dokumentem bardzo cennym. Stąd wypadło zająć się nią obszerniej, by zapamiętać, jak wśród trwałości relatywizmu umiera suchy intelekt.

**HENRYK KLEIST**

# KSIĄŻĘ HOMBURGU

*(Dokończenie)*

AKT IV — SCENA DRUGA

Scena: pokój Księżniczki. Wchodzi Księżniczka Natalja, za nią — dwie damy dworu i Rotmistrz hr. Reuss.

KSIĘŻNICZKA *(śpiesząc się)*
Co tam, mój hrabio — czy od mego pułku?
Czy coś ważnego? Możeby do jutra?
HR. REUSS List od Kotwitza, Miłościwa Pani *(wręcza jej pismo)*
KSIĘŻNICZKA Proszę, — lecz prędko! Jego treść?
HR. REUSS To prośba —
Śmiała, jak widać, choć pełna respektu —
Do Elektora, napisana w sprawie
Księcia Homburgu, naszego dowódcy.
KSIĘŻNICZKA *(czyta)* „Suplika kornie przez pułk ułożona,
Którego wodzem księżniczka orańska" *(Pauza)*
Kto redagował tę waszą suplikę?
HR. REUSS Jak to z krzywego biegu pisma poznać,
Autorem jego jest pułkownik Kotwitz;
Jego nazwisko tu — na samej górze.
KSIĘŻNICZKA Trzydzieści nazwisk, które idą po niem?
HR. REUSS To są nazwiska oficerów, którzy
Wedle starszeństwa wszyscy podpisali.
KSIĘŻNICZKA Dla mnie to wyście tę całą suplikę...
HR. REUSS Wasza Wysokość, ośmielę się spytać,
Czy jako szef nasz zechce Pani podpis
Własny położyć — tu, na pierwszem miejscu.

KSIĘŻNICZKA Ten krok wasz teraz już zupełnie zbędny,
Bo, jak słyszałam, Książę postanowił
Sam, z własnej woli, użyć prawa łaski.
HR. REUSS *(uradowany)* Naprawdę, Pani?
KSIĘŻNICZKA *(po namyśle)* Jednak dam tu podpis,
Bo prośba może zaważyć na szali
I ramię wagi przechylić w swą stronę.
Kładę swe imię na czele tych nazwisk *(odchodzi, by podpisać)*
HR. REUSS Zjednasz tem sobie naszą wdzięczność, Pani *(Pauza)*
KSIĘŻNICZKA *(zwraca się znów do niego)*
Widzę nazwiska tylko z mego pułku:
A gdzież Bomsdorfa kirasjerzy, — gdzież są
Dragoni Goetza, gdzież jest Anhalt Pless?
HR. REUSS To nie dlatego, żeby serca tamtych
Obojętniejsze miały być niż nasze,
Lecz tak wypadło, że — jakby na złość —
Nam wyznaczono kwatery daleko
Od innych kwater. Inne pułki tu
Obozem stoją, my zaś — w samem Arnstein:
W tem tkwi przyczyna, że tak małą ilość
Na tej suplice skupiliśmy nazwisk.
KSIĘŻNICZKA Szkoda: akt przez to uzyskałby na wadze.
A jaką pewność ma Pan, panie hrabio,
Że moglibyśmy liczyć na podpisy
I reszty wojska, gdybyście tu byli
I mogli z nimi pomówić swobodnie?
HR. REUSS Tu w mieście, Pani, jak amen w pacierzu
Cała konnica złoży swe podpisy.
Co więcej — sądzę, że możnaby zebrać
Nazwiska całej brandenburskiej armji.
KSIĘŻNICZKA *(po chwili)* Czemuż więc tutaj nie przysłano ludzi,
Którzyby mogli zająć się tą sprawą?
HR. REUSS Był i ten projekt — Kotwitz go nie przyjął:
Nie chce — jak mówi — czynić nic takiego,
Coby mu można poczytywać za złe.
KSIĘŻNICZKA Dziwny to człowiek: to śmiały — to trwożny...
Elektor dał mi, na szczęście, zlecenie
(Sam jest czemś innem zajęty), bym sama
Przyjść tu kazała Kotwitzowi z pułkiem,
Gdyż nazbyt ciasną kwaterę ma w Arnstein.
Odręcznem pismem zaraz to załatwię *(siada i pisze)*

HR. REUSS Na jasne nieba! Ten przypadek, Pani,
Walnie dopomóc może naszej prośbie.
KSIĘŻNICZKA *(składa list, pieczętuje go i wstaje)*
Niech Pan to, hrabio, wpełni wykorzysta;
Jednak — do czasu — list ten, oczywiście,
Będzie schowany u Pana w portfelu;
Dam Panu całkiem wyraźne zlecenie,
Gdzie go i kiedy wręczyć Kotwitzowi *(oddaje mu pismo)*
HAJDUK *(wchodzi)* Z rozkazu Księcia, powóz zaprzężony
Stoi przed domem i czeka na Panią *(Pauza; Księżniczka, zamyślona, podchodzi do stołu i naciąga rękawiczki)*
KSIĘŻNICZKA Z księciem Homburgu chciałabym pomówić:
Może mi, hrabio, będziesz towarzyszył?
Jest wolne miejsce dla Pana w powozie.
HR. REUSS Tak wielki zaszczyt — Księżniczko, doprawdy...
KSIĘŻNICZKA *(do dam dworu)*
Chodźmy, najdroższe; sądzę, że tam także
Wydam zlecenie w sprawie tego listu.

SCENA TRZECIA

Scena: więzienie. Książę Homburgu wiesza swój kapelusz na ścianie i siada niedbale na sienniku, rozciągniętym na ziemi.

KSIĄŻĘ Derwisz podróżą nazywa to życie —
Podróżą krótką, zapewne. Dwie piędzi
Tutaj na ziemi — dwie piędzi tam w ziemi...
A ja w połowie drogi chciałbym ustać!
Kto dzisiaj nosi głowę na swym karku,
Jutro, trzęsącą, zwiesi ją ku ziemi,
Żeby pojutrze złożyć ją przy pięcie.
Podobno jakieś i tam świeci słońce,
I to na łąkach bardziej kolorowych:
Wierzę; lecz szkoda, że oko już gnije,
Któreby winno piękność tę podziwiać.

SCENA CZWARTA

Wchodzi Księżniczka Natalja: wprowadza ją Rotmistrz Reuss, towarzyszą jej damy dworu; przed niemi goniec z pochodnią.

GONIEC Jaśnie Wielmożna Księżniczka Oranji.
KSIĄŻĘ Natalja, przebóg!... *(wstaje)*
GONIEC Otóż Jej Wysokość.
KSIĘŻNICZKA *(kłania się Hr. Reussowi)*
Niech Pan na chwilę zostawi nas samych *(Hr. Reuss i Goniec odchodzą)*

KSIĄŻĘ Moja najdroższa...
KSIĘŻNICZKA Drogi mój kuzynie...
KSIĄŻĘ *(prowadzi ją)* Cóż mi przynosisz — mów: co będzie ze mną?
KSIĘŻNICZKA Jak powiedziałam, wszystko poszło dobrze:
Ułaskawiony, odzyskujesz wolność —
Tu list od Niego, który to potwierdzi.
KSIĄŻĘ To niemożliwe... Nie — to chyba sen!
KSIĘŻNICZKA Spójrz na list, czytaj — wszystkiego się dowiesz.
KSIĄŻĘ *(czyta)* „Książę Homburgu, gdy cię uwięziłem
Za nazbyt wcześnie rozpoczęty atak,
Sądziłem w duszy, że spełniam powinność, —
Na twoją własną rachowałem zgodę;
Skoro uważasz, że doznałeś krzywdy,
To zechciej do mnie napisać dwa słowa,
A ja ci szpadę odeślę z powrotem" *(Natalja blednie; Książę patrzy pytająco)*
KSIĘŻNICZKA *(z nagłym wybuchem radości)*
No, widzisz, widzisz: tylko jedno słówko.
O, mój kochany! *(ściska mu rękę)*
KSIĄŻĘ Najdroższa dziewczyno,
Radosna chwila zawitała do nas!
KSIĘŻNICZKA Tu, tu masz pióro — siadaj więc i pisz.
KSIĄŻĘ A tutaj podpis?
KSIĘŻNICZKA Tak: „F", jego imię.
Ciesz-że się ze mną, Bork! O, dobroć stryja
Jest niezmierzona, — wiem to, — jak ocean!
Przynieście krzesło i niech zaraz pisze.
KSIĄŻĘ „Skoro uważasz, że doznałeś krzywdy..."
KSIĘŻNICZKA Szybko — ty siadaj, a ja podyktuję *(podsuwa mu krzesło)*
KSIĄŻĘ Chciałbym raz jeszcze przeczytać ten list.
KSIĘŻNICZKA *(wyrywa mu list z ręki)*
Poco — czyś jamy nie widział w katedrze,
Paszczą ku tobie ziejącej otwartą?
To nie przelewki — siadaj więc i pisz!
KSIĄŻĘ Tak mnie przynaglasz, jakby każdej chwili
Niczem pantera śmierć na mnie spaść mogła...
KSIĘŻNICZKA Pisz, jeśli nie chcesz być przyczyną gniewu! *(Książę dzwoni na służącego, służący wchodzi)*
KSIĄŻĘ Daj mi papieru, inkaust, wosk, pieczątki *(Służący wyszukuje żądane przedmioty i odchodzi; Książę pisze. Milczenie;*

*Książę drze list, który zaczął pisać, i rzuca pod stół)*
Głupi początek! *(bierze inny kawałek papieru)*
KSIĘŻNICZKA *(podnosząc skrawki)* Jak? jak napisałeś?
Właśnie tak dobrze — tak jest znakomicie.
KSIĄŻĘ Ba! godne ciury, nie zaś księcia krwi.
Potrafię sobie wyszukać zwrot lepszy *(sięga po list Elektora, który Księżniczka trzyma w ręce)*
Co on właściwie napisał w tym liście?
KSIĘŻNICZKA *(broniąc listu)*
Nic, nic takiego.
KSIĄŻĘ Daj mi.
KSIĘŻNICZKA Zostaw.
KSIĄŻĘ Chciałbym
Zobaczyć tylko, jakich użyć zwrotów? *(rozwija i czyta)*
KSIĘŻNICZKA *(do siebie)* O wielki Boże, teraz już jest po nim.
KSIĄŻĘ *(zdumiony)* Spójrz tu: to dziwne, klnę się na me życie —
Zauważyłaś to miejsce?
KSIĘŻNICZKA Nie; — jakie?
KSIĄŻĘ Do rozstrzygnięcia wzywa mnie samego?
KSIĘŻNICZKA *(robi ruch, jakby chciała coś powiedzieć)*
KSIĄŻĘ Naprawdę zacnie, naprawdę wspaniale —
Tak jak mu wielkie nakazuje serce.
KSIĘŻNICZKA Ach, wielkoduszność jego jest bez granic!
Dziś ty zkolei zrób swoje i napisz
To czego żąda: wszak to tylko pozór,
Zewnętrzna forma, której mu potrzeba;
Skoro dwa słowa od ciebie otrzyma,
Wnet całej sprawie kres położy wreszcie.
KSIĄŻĘ *(odkłada list na bok)*
Nie, moja droga — odkładam do jutra.
KSIĘŻNICZKA Tyś obłąkany! Cóż za nagła zmiana?
Czemuż tak, — powiedz?
KSIĄŻĘ *(wstaje gwałtownie z krzesła)* Proszę cię: nie pytaj —
Nie zrozumiałaś treści tego listu!
Krzywdę mi zrobił, tak zdając się na mnie;
Muszę pomyśleć, co napisać; gdybyś
Wymogła na mnie odpowiedź już dzisiaj —
Tobym odpisał: „Uczyniłeś słusznie" *(znów opiera się skrzyżowanemi ramionami na stole i patrzy w otwarty list)*
KSIĘŻNICZKA Chybaś szalony — co ty wygadujesz! *(wzruszona pochyla się nad nim)*

KSIĄŻĘ *(myśli)* Pozwól, — chwileczkę; więc chyba...
KSIĘŻNICZKA Co mówisz?
KSIĄŻĘ Wnet będę wiedział, jaką dać odpowiedź.
KSIĘŻNICZKA *(z boleścią)* Arturze...
KSIĄŻĘ *(biorąc pióro)* Słucham.
KSIĘŻNICZKA Drogi przyjacielu,
Pochwalam odruch, co ożył ci w sercu,
Lecz oto klnę się, że już wyznaczony
Został regiment, który na twym grobie
Pogrzebanemu ostatnie honory
Salwą muszkietów oddać ma. Najdroższy!
Jeśli się poddasz w szlachetnym porywie
Srogim rygorom wojennego sądu
I nie odpiszesz tak jak chce Elektor —
To cię zapewniam, że on z wzniosłych wyżyn
Tak z tobą zrobi, jak wprzód zapowiadał,
I bezlitośnie każe spełnić wyrok.
KSIĄŻĘ *(pisząc)* Ach, to nic.
KSIĘŻNICZKA Jakto?
KSIĄŻĘ Zrobi tak jak zechce,
Ja zaś postąpię tak jak powinienem.
KSIĘŻNICZKA *(przerażona, podchodzi bliżej)*
Ach, ty okrutny — co mu chcesz odpisać?
KSIĄŻĘ *(kończy)* Homburg, Ferbellin, data: dwunastego.
Już jestem gotów, Franciszku! *(zamyka i pieczętuje list)*
KSIĘŻNICZKA O, nieba!
KSIĄŻĘ *(wstaje)* Do Księcia Pana na zamek z tym listem *(Służący odchodzi)*
Nie chciałbym przed nim stawać bez godności —
Przed nim, co ze mną tak godnie postąpił.
Ciężka przewina piersi mi przygniotła,
Wiem o tem dobrze; jeśli tylko wtedy
Może przebaczyć, gdybym temu przeczył —
To nie chcę wcale łaski jego doznać.
KSIĘŻNICZKA *(całuje go)* Pozwól choć lice ucałować swoje!...
Gdyby w tej chwili dwanaście kul razem
Cię obaliło — krzyknę w łzach i jękach,
Sercem nie władnąc: „Takiego cię kocham"!
Tymczasem — skoro tyś za sercem poszedł,
I ja pójść mogę za namową swego:
Hrabio Reuss!

HR. REUSS Jestem!
KSIĘŻNICZKA Udaj się Pan z listem
Do pułkownika Kotwitza, do Arnstein;
Niech pułk wyruszy, — taka wola księcia; —
Tu przed północą będę was czekała.

## AKT PIĄTY

### SCENA PIERWSZA

Scena: sala w zamku. Z bocznego gabinetu wychodzi Elektor, napoły rozebrany; towarzyszą mu hrabiowie: Truchs i Hohenzollern, oraz Rotmistrz Goltz. Paziowie świecą.

ELEKTOR Kotwitz z dragonją księżniczki tu, w mieście?
TRUCHS Wasza Wysokość może się przekonać:
Przymaszerował tu, przed same okna *(otwiera okno)*
ELEKTOR Żebym mógł tylko rozwiązać zagadkę,
Kto go tu wołał?
HOHENZOLLERN Nikt z nas nie wie, panie.
ELEKTOR Miejsce, gdzie stać miał, nazywa się Arnstein.
Niech, który zejdzie i wezwie go tutaj.
GOLTZ Za chwilę, panie, przed tobą się zjawi.
ELEKTOR Gdzie jest?
GOLTZ W ratuszu. Tam, jako słyszałem,
Jest zgromadzona twa generalicja.
ELEKTOR Pocóż się zeszli?
HOHENZOLLERN Tego nie wiem, panie.
TRUCHS Wasz Wysokość zezwoli nam również
Choćby na krótko udać się tam do nich?
ELEKTOR Gdzie — do ratusza?
HOHENZOLLERN Na zebranie wojska.
Daliśmy słowo, że tam przybędziemy.
ELEKTOR *(po krótkiej pauzie)*
Możecie odejść.
GOLTZ Więc chodźmy, panowie *(Oficerowie odchodzą)*

### SCENA DRUGA

Elektor; potem dwóch służących.

ELEKTOR To dziwne... Gdybym był Dejem Tunisu,
W tem położeniu tak bardzo dwuznacznem
Na przerażenie biłbym w dzwony wszystkie,
Jedwabny sznurek na stółbym położył,
Zaś przed dworzyszczem zbrojnem w polisady
Działa, armaty kazałbym wytoczyć,

Lecz że Jaś Kotwitz stanął mi okoniem,
Krnąbrnie, swawolnie do mnie się zbliżywszy —
Chwycić się muszę pruskiego sposobu:
Z trzech jego loków o srebrnym połysku,
Co mu na czoło spadają, ja jeden
Ujmę i cicho z dwunastką szwadronów
Znów go zawiodę do dawnej kwatery.
Pocóż daremnie miasto budzić ze snu! *(chwilę stoi w oknie, później zbliża się do stołu i dzwoni; wchodzi dwóch służących)*
Ty skocz i spytaj, jakby sam od siebie,
Co słychać w mieście.

SŁUŻĄCY Rozkaz, Książę Panie.

ELEKTOR Ty saś przygotuj szybko moją odzież *(Służący odchodzi i przynosi ubranie; Elektor ubiera się i kładzie oznaki władzy książęcej)*

SCENA TRZECIA

Wchodzi Marszałek Dörfling; pozostali jak poprzednio.

MARSZAŁEK Rebelja, Panie.

ELEKTOR Spokojnie, spokojnie.
Nie znoszę nigdy, — dobrze ci wiadomo, —
Jeśli kto do mnie wchodzi bez meldunku.
Co z tobą?

MARSZAŁEK Panie! Wypadek — wybaczysz —
Niezwykłej wagi sprowadza mnie tutaj.
Pułkownik Kotwitz przybył, wbrew rozkazom,
Tutaj do miasta. Nad stu oficerów
W rycerskiej sali przy nim się zebrało
I papier jakiś kursuje w ich kole,
Który podobno godzi w twoją władzę.

ELEKTOR Wiem, o co idzie: o łaskę dla księcia,
Któremu prawo przeznaczyło kulę.

MARSZAŁEK Tak jest, na Boga — utrafiłeś w sedno.

ELEKTOR Całem swem sercem stoję po ich stronie.

MARSZAŁEK Podobno dzisiaj, szaleńcy, chcą prośbę
Tobie doręczyć — i gdybyś uparcie
Dalej trwał w gniewie (ledwie śmiem to wyrzec),
Pragną z twej mocy wydrzeć księcia siłą.

ELEKTOR *(ponuro)* Kto ci to mówił?

MARSZAŁEK Ach, kto mi to mówił?
Pani von Retzow, której możesz wierzyć, —

Ciotka mej żony. Będąc dziś wieczorem
U swego męża, radcy von Retzowa,
Słyszała jawną zmowę oficerów,
Radzących głośno nad zuchwałym planem.

ELEKTOR Tylko mężczyźnie można wierzyć, — daruj;
Wszak butem swoim, u drzwi postawionym,
Od tych młokosów mógłbym go odgrodzić.

MARSZAŁEK Wasza Wysokość! Zaklinam: jeżeli
Jest twym zamiarem ułaskawić księcia —
Uczyń to, zanim stanie się czyn straszny.
Wiesz: każde wojsko kocha swoją chlubę;
Nie pozwól iskrze drzemiącej w popiele
Wybuchnąć ogniem bezbożnej zagłady.
Kotwitz i inni, których on zgromadził,
Nie wiedzą jeszcze, żem cię wiernie ostrzegł;
Poślij zawczasu miecz księciu z powrotem —
Zasługi jego chyba warte łaski.
Historji przydasz czyn wspaniałomyślny
I nie dopuścisz do niecnego czynu.

ELEKTOR Musiałbym o to zapytać wprzód księcia;
Nie samowola — jak wiesz — go zakuła,
Więc samowola nie może go zwolnić.
Z tymi panami, gdy przyjdą, chcę mówić.

MARSZAŁEK *(do siebie)* Do djabła! Umie każdy cios odepchnąć.

SCENA CZWARTA

Wchodzi dwóch hajduków, jeden z nich niesie list; pozostali jak poprzednio.

I HAJDUK Pułkownik Kotwitz, Hennings, Truchs i inni
Proszą o posłuch.

ELEKTOR *(do II Hajduka, biorąc mu list z ręki)*
Od księcia Homburgu?

II HAJDUK Tak, Książę Panie!

ELEKTOR Kto ci list ten wręczył?

II HAJDUK Szwajcar — ten, który stróżuje u bramy,
Z rąk książęcego otrzymał go strzelca.

ELEKTOR *(podchodzi do stołu i czyta; gdy skończył, odwraca się i woła Pazia)*
Podaj mi, Prytwitz, napisany wyrok
I paszport Horna, królewskiego posła *(Paź odchodzi; do I Hajduka)*
Kotwitz i inni mogą się tu stawić.

SCENA PIĄTA

Pułkownik Kotwitz, Hennings, hrabiowie: Truchs, Hohenzollern, Sparren, Reuss, Rotmistrz Goltz i Stranz, oraz inni pułkownicy i oficerowie wchodzą; pozostali jak poprzednio.

KOTWITZ *(z prośbą)* Pozwól, mój Książę i Panie Dostojny,
Bym ci w imieniu całej twojej armji
Ten oto papier pokornie przedłożył.
ELEKTOR Dobrze — lecz powiedz, nim odbiorę papier:
Czyj rozkaz tutaj sprowadził cię z pułkiem?
KOTWITZ *(patrzy na niego)*
Tu, razem z pułkiem?
ELEKTOR Tak jest, razem z pułkiem:
Wszak na kwaterę wskazałem ci Arnstein.
KOTWITZ Twój, Panie ,rozkaz powołał mnie tutaj.
ELEKTOR Co?... Pokaż rozkaz!
KOTWITZ Oto on, mój Książę.
ELEKTOR *(czyta)* „Natalja, — pieczęć i data: Ferbellin.
Z rozkazu stryja, Jego Wysokości
Brandenburskiego Księcia, Fryderyka — — "
KOTWITZ Na Boga, Książę, wierzyć mi się nie chce:
Nic o tem nie wiesz?
ELEKTOR Ach, nie!... Pytam tylko,
Kto ci ten rozkaz do rąk własnych oddał.
KOTWITZ Hrabia Reuss.
ELEKTOR *(po krótkiej pauzie)* Dobrze. Witaj w Ferbellinie!
Księciu Homburgu, skazanemu na śmierć
Wyrokiem prawa, masz z całym swym pułkiem
Jutro wczas oddać ostatnie honory!
KOTWITZ Jakto, mój Książę? Przebóg!
ELEKTOR Twój regiment
Stoi przed zamkiem teraz — nocą?... w mgle?...
KOTWITZ Bo nocą, wybacz...
ELEKTOR Czemu nie w kwaterach?
KOTWITZ Mój Książę! Pułk mój, tak jak dałeś rozkaz,
Zajął dla siebie kwatery w tem mieście.
ELEKTOR *(obracając się do okna)*
Co? Wszak przed chwilą... Na błękit niebieski! —
Toś mi się tutaj rozgościł piorunem!
No, to tem lepiej — jeszcze raz mi witaj.
Co cię sprowadza, powiedz? co nowego?
KOTWITZ Panie, ta prośba od wiernego wojska.
ELEKTOR Dawaj!

KOTWITZ Lecz słowo, jakie z ust twych padło,
Całą mą ufność obróciło wniwecz.
ELEKTOR Inne ją słowo może znowu wskrzesić *(czyta)*
„Korna suplika o największą łaskę,
O uwolnienie naszego haniebnie
Oskarżonego wodza, generała *(do Oficerów)*
Księcia von Hessen-Homburg Fryderyka".
Szlachetne imię, panowie, i godne,
Skoro w tej liczbie wstawiacie się za niem.
Który z was pisał tę prośbę?
KOTWITZ Ja, Kotwitz!
ELEKTOR Książę Homburgu zna treść tego pisma?
KOTWITZ Nie, książę nie wie nic o naszem piśmie:
Myśmy to sami tak ukartowali.
ELEKTOR Proszę o małą chwilę cierpliwości! *(idzie do stołu i przegląda pismo; długie milczenie)*
Dziwne: ty bierzesz — ty, sam stary żołnierz —
W opiekę swoją czyn księcia; rozgrzeszasz,
Że bez rozkazu uderzył na Wrangla?
KOTWITZ Tak, Książę Panie — tak, to czyni Kotwitz.
ELEKTOR Na polu bitwy inne miałeś zdanie.
KOTWITZ Bom źle rozważył, Panie Miłościwy!
Książę na wojnie dobrze się rozumie, —
Winien go byłem ślepo zawsze słuchać.
Szwedzi na lewem zachwiali się skrzydle,
Na prawem zato gotował się sukurs;
Gdyby chciał czekać na rozkaz od ciebie,
Znówby w wąwozie zajęli forpoczty
I jużbyś potem nie odniósł zwycięstwa.
ELEKTOR Wygodny sobie wyszukałeś motyw.
Posłałem przecież pułkownika Hennings,
(Jak ci wiadomo), żeby zniósł przyczółek
Mostu, broniący tyły nieprzyjaciół;
Gdybyście byli słuchali rozkazu,
Byłby się udał Henningsowi manewr,
Most w dwie godziny stanąłby w płomieniach
I onby wtedy zajął linję Rinu,
A wojska Wrangla co do nogi w bagnach
I trzęsawiskach musiałyby zginąć.
KOTWITZ To rzecz partacza, nie zaś księcia godna:
Najwyższy wieniec fortuny chcieć zdobyć!

Do dzisiaj brałeś to, co los ci zdarzył.
Smok, co zuchwale pustoszył twą marchję,
Został wygnany z pokrwawionem czołem:
Czy to za mało jak na jeden dzień?
Cóż ci to szkodzi, że w piasku, bezsilny,
Przez dwa tygodnie będzie lizał rany?
Dziś pojęliśmy sztukę, jak ich bić;
W przyszłości chętnie pojmiemy ją lepiej.
Daj nam się z Wranglem spotkać piersią w pierś
Jeszcze raz tylko, a skończymy dzieło:
Wrangel za Bałtyk ucieknie czemprędzej!
Rzym nie jednego dnia wybudowano.

ELEKTOR Jakiem to prawem mniemasz, że każdemu -
Gdy ja sam jadę na wojennym wozie —
Wedle swej woli wolno chwytać cugle?
Chyba nie sądzisz, że zawsze los wieńcem
Nieposłuszeństwo — jak dziś — zdobić będzie?
Nie chcę zwycięstwa, co z ławy mi spadło
Dziecięciem trafu. Ale chcę tu prawo,
Matkę korony, w stałem widzieć zdrowiu:
Ona mi spłodzi całe plemię zwycięstw!

KOTWITZ Panie — najpierwsze i najwyższe prawo,
To, które winno żyć w piersiach twych wodzów
Nie jest literą martwą twojej woli;
Ono ojczyzną, ono jest koroną,
Ono jest tobą, Pomazańcze Boży!
Czemu cię trapi jeno suchy kanon,
Jak trzeba walczyć? gdy wróg u twej stopy
Leży z wszystkiemi swemi chorągwiami?...
Ten kanon, który dał zwyciężyć wroga,
Ten jest najwyższy. Zali chciałbyś wojsko,
Oddychające płomiennem uczuciem,
Zmienić w maszynę podobną do miecza
Martwo w złocistej drzemiącego pochwie?
Duch to ubogi, duch to gwiazdom obcy,
Co takie daje nauki — i licha
Rządzenia sztuka, która dla jednego
Wypadku, w którym uczucie jest zgubą —
Dziesięć prześlepia w przebiegu wydarzeń,
Gdzie traf ten tylko ratunkiem być może.
Czyżbym krew swoją przelewał w dniu bitwy

Za żołd, za grosze, czy choćby za sławę?
Niech mnie Bóg broni — za dobra jest na to!
Miałem swą radość i szczęście w tem miałem,
Od uprzejmości czy też wspaniałości
Twej niezawisłe — wolne, tylko moje, —
Że rośnie w sławę twoje wielkie imię:
Za taką cenę sprzedawałem życie!
Chociażbyś nawet złamał szpadę księcia
Z powodu tego zwycięstwa, co przyszło,
Choć nie wołane — a jabym gdzieś w lesie
Spotkał przypadkiem równie nie wołane,
Gdziekolwiek między skałami i lasem,
Jak pasterz owcę — zwycięstwo, — na Boga! —
Toż byłbym chyba łotrem nad łotrami,
Gdybym znów czynu nie powtórzył księcia!
A gdybyś ty mi z kodeksem praw orzekł:
„Kotwitz, podrwiłeś głową“ — tobym odparł:
„Skoro przysięga u twojego tronu
Skuła mnie razem z głową i czupryną —
To ci i głowy nie wzbronię; i owszem:
Dając ją, oddam to, co już jest twoje!

ELEKTOR Z tobą, mój stary wojacki dziwaku,
Nie dojdę ładu. Kłują mnie twe słowa,
Z przebiegłem znawstwem dobierane razem;
Umiesz mi usta zamknąć, lecz zawołam
Na odsiecz sobie rzeczoznawcę, który
Mą rzecz podejmie! *(dzwoni; wchodzi Służący)*
Hej, książę Homburgu!
Z więzienia tutaj przyprowadzić księcia!
Ten cię nauczy — o tem cię zapewniam, —
Co to jest posłuch i karność wojskowa.
Przynajmniej pismo przesłał mi, co dźwięczy,
Całkiem inaczej, niźli chytry traktat
W sprawie wolności, który ty jak młodzik
Przede mną właśnie roztoczyłeś.

KOTWITZ *(zdumiony)* Kogo
Wzywasz tu, książę?

HENNINGS Jego?

TRUCHS Niemożliwe! *(Oficerowie skupiają się z niepokojem i rozmawiają)*

ELEKTOR Z pod czyjej ręki wyszło drugie pismo?

HOHENZOLLERN Ja to pisałem, Książę mój i Panie!
ELEKTOR *(czyta)* Udowodnienie, że książę Fryderyk
Sam winowajcą tego czynu, który... —
Na jasne nieba, to czelne zuchwalstwo:
Swywoli, z jaką książę ruszył w bitwę,
Mnie winowajcą czynisz, mości hrabio?!
HOHENZOLLERN Tak — ciebie, panie: jakem Hohenzollern!
ELEKTOR Przebóg! To cudo, to cudo bajeczne:
Jeden dowodzi, że ów nie był winien,
Drugi — przeciwnie — na mnie zwala winę!
Jakie dowody masz na to, co mówisz?
HOHENZOLLERN Przypomnij sobie, Panie, tę noc cichą,
Gdy znaleźliśmy księcia w śnie głębokim,
W ogrodzie, w cieniu ogromnych platanów...
Zdawał się marzyć o bliskiem zwycięstwie
I wieniec z lauru trzymał w swoich dłoniach;
Ty, jakbyś pragnął wystawić na próbę
Płomienne serce — wziąłeś mu z rąk wieniec,
Przyozdobiłeś go łańcuchem zdjętym
Z swej własnej szyi i, śmiejąc się, dałeś
Łańcuch i wieniec razem oplecione
Swej siostrzenicy, szlachetnej księżniczce;
Książę w płomieniach w tem zdumiewającem
Stanął zwidzeniu, — te słodkie chciał rzeczy
I dane rączką tak miłą... pochwycić;
Ty jednak, wiodąc z powrotem księżniczkę,
Umknąłeś przed nim — drzwi cię pochłonęły,
Zniknęło wszystko: dziewczę, łańcuch, wieniec;
I sam znów został pośród czarnej nocy,
A w ręku trzymał jakąś rękawiczkę,
Choć sam nie wiedział, z czyich rąk zerwana.
ELEKTOR Co, rękawiczkę?
HOHENZOLLERN Panie, racz wysłuchać.
To był żart tylko, lecz jakie znaczenie
Żart miał dla niego — poznałem niebawem,
Kiedy ja bowiem poprzez tylną furtę
Wkradłem się w ogród (jakgdyby przypadkiem),
Budząc go ze snu — on, zebrawszy zmysły,
Oddał się cały rozkoszom wspominek.
Wzruszenie jego było bezgraniczne!
Całe zdarzenie, jakgdyby snem było,

Ze szczegółami przede mną roztoczył;
Sądził, że nigdy nie śnił tak wyraźnie,
I mocna wiara w nim się obudziła,
Że niebo sen mu zesłało proroczy
I że to wszystko, co duch jego widział —
Dziewczę, laurowy wieniec, łańcuch złoty —
Bóg mu daruje w najbliższym dniu bitwy...

ELEKTOR Dziwne, zaiste... No, a rękawiczka?

HOHENZOLLERN Tak, ten snu szczegół, co się ucieleśnił,
Wiarę tę wstrząsnął i wzmocnił zarazem;
Z początku zrobił na nią wielkie oczy:
Biała jej farba, krój i wykończenie
Wskazywałyby, że to własność damy —
Lecz przecież z żadną nie rozmawiał, coby
Tę rękawiczkę białą mogła zgubić;
A kiedym ja mu przeszkodził w marzeniach,
Po odbiór planu wzywając do zamku —
Zapomniał o tem, czego nie mógł pojąć,
I roztargniony schował rękawiczkę.

ELEKTOR I cóż?

HOHENZOLLERN Na zamek z rylcem i tabliczką
Udał się, aby z pobożną uwagą
Z ust Feldmarszałka odebrać plan bitwy.
Księżna z księżniczką, gotowe do drogi,
Bawiły wówczas na rycerskiej sali;
Któż zdoła zmierzyć ten ogrom zdziwienia,
Jakie nań spadło, gdy jęła księżniczka
Tej rękawiczki, którą on miał, szukać!
Marszałek wołał go już po raz wtóry:
„Książę Homburgu!“ „Co marszałek każe?“ —
Odrzekł mu książę i chciał zebrać zmysły,
Ale był całkiem w mocy dziwów — piorun
Z jasnego nieba mógłby obok strzelić!... *(zatrzymuje się)*

ELEKTOR Tę rękawiczkę zgubiła Natalja?

HOHENZOLLERN Tak. On jak głaz był... Stał z rysikiem w dłoni,
Mogło się zdawać, że chyba przytomny —
Tymczasem jego świadomość zagasła,
Jakby za tknięciem czarodziejskiej różdżki;
Dopiero rankiem, gdy już grzmiały działa,
Wrócił do zmysłów i spytał mnie skrycie:

„Najdroższy, powiedz: co mówił marszałek?
Co mnie tyczyło w wojennym rozkazie?".

MARSZAŁEK Potwierdzam, Panie, tę całą opowieść.
Książę z mej mowy (przypominam sobie)
Nie pojął słowa; bywał roztargniony —
Widziałem nieraz; ale jeszcze nigdy
Do tego stopnia, jak ostatnim razem!

ELEKTOR Jeżeli tylko dobrze cię pojąłem,
To ostateczną winę na mnie składasz,
Bo gdybym żartów nie stroił dwuznacznych
Ze snu młodzieńca — onby nie przewinił,
Byłby przytomny przy odprawie wodzów,
A w bitwie krnąbnie nie byłby poczynał.
Czyż tak — tak mniemasz?

HOHENZOLLERN Książę mój i panie,
„Niech czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa".

ELEKTOR O, głupcze, głupcze — o, niedowarzony!
Pocoś mnie wówczas do ogrodu wzywał?
Nie byłbym, folgę dając ciekawości,
Dworował z niego, i to tak bez serca.
Z równem więc prawem utrzymuję teraz,
Że jego błędów ty ponosisz winę,
Delficka Pytjo moich oficerów!

HOHENZOLLERN Dosyć, mój książę: jestem całkiem pewny,
Że słowa moje zapadły w twe serce.

SCENA SZÓSTA

Wchodzi Oficer; pozostali jak poprzednio.

OFICER O Panie! Książę w tej chwili się zjawi.

ELEKTOR Dobrze, niech wejdzie.

OFICER Jeszcze dwie minuty.
Przechodząc mimo, uprosił grabarza
Żemy na chwilę otworzył mu cmentarz.

ELEKTOR Cmentarz?

OFICER Tak, książę.

ELEKTOR A naco?

OFICER Ja nie wiem.
Zdaje się, pragnął zobaczyć tam grób,
Który wykopać kazałeś dla niego *(Pułkownicy skupiają się i rozmawiają)*

ELEKTOR *(milczy przez chwilę)*
Jak tylko przyjdzie, wpuścić go natychmiast! *(podchodzi znowu do stołu i zagląda w papiery)*
OFICER Otóż już warta wiedzie ku nam księcia.

SCENA SIÓDMA

Książę Homburgu wchodzi; Oficer ze strażą; pozostali jak poprzednio.

ELEKTOR Książę Homburgu, na odsiecz cię proszę!
Pułkownik Kotwitz przyniósł mi ten papier, —
Popatrz-że tylko, — przez całą litanję,
Przez stu szlachetnych mężów podpisany.
Wojsko, jak widzisz, woła o twą wolność
I nie uznaje wojennego prawa.
Czytaj sam, proszę, i chciej się przekonać! *(oddaje mu pismo)*
KSIĄŻĘ *(rzuciwszy okiem na treść pisma, obraca się i rozgląda w kole oficerów)*
Kotwitz! daj rękę, stary przyjacielu —
Więcej ty dla mnie robisz, niźlim sobie
Na polu bitwy zasłużył; lecz teraz
Wracaj czemprędzej do kwatery w Arnstein
I tam pozostań. Ja się rozmyśliłem:
Pragnę śmierć ponieść, zgodnie z wolą sądu.
KOTWITZ Nie — nigdy, książę! Co ty wygadujesz?
HOHENZOLLERN On sam chce śmierci?
TRUCHS Nie chce i nie umrze!
WIELU OFICERÓW *(do Elektora)* Książę i Panie, władco nasz! wysłuchaj!
KSIĄŻĘ Cicho: to moja nieugięta wola!
Wojenne prawo święte, którem zdeptał
Na oczach armji, pragnę dzisiaj znowu
Światłością okryć przez śmierć dobrowolną.
Cóżby znaczyło nikczemne zwycięstwo,
Jakiebym jeszcze Wranglowi mógł wydrzeć —
Wobec triumfu, jaki w świetnej chwale
Jutro odniosę nad najgorszym wrogiem,
W nas mieszkającym: swawolą i butą!
Runie ów natręt, co chciał nas ujarzmić,
I Brandenburczyk, poczuwszy się wolnym,
Na macierzystej ziemi będzie widział,
Że ona jego jest i tylko jemu
Przepychy swoich niw roztacza hojnie

KOTWITZ *(wzruszony)* Daj, niech twą rękę ucałuję!
TRUCHS Nieba!
KOTWITZ Synu mój, bracie — jakże mam cię nazwać? *(Oficerowie cisną się wokół Księcia)*
KSIĄŻĘ *(zwracając się do Elektora)*
Twe imię drogie w bój mnie wiodło, Książę,
Aż póki teraz nie podrwiłem głową;
Do nóg ci padam głęboko wzruszony:
Przebacz mi, Panie, jeśli w dniu rozprawy
Służyłem tobie nadto zapalczywie!
Śmierć z wszelkiej winy zmyje mnie do czysta...
A na znak tego, że już się nie gniewasz —
Dozwól pociechy sercu, które raźnie
I z gotowością wyrok śmierci bierze,
W chwili rozstania świadcząc mi tę łaskę.
ELEKTOR Mów, bohaterze — mów, czego to pragniesz?
Klnę się na honor i rycerską sławę:
Cokolwiek zechcesz, zostanie spełnione.
KSIĄŻĘ Nie kupuj zgody z Karolem Gustawem
Za cenę ręki swojej siostrzenicy!
Precz mi z obozu z tym niecnym przekupniem
Który śmiał taką propozycję przynieść!
Odpowiedź napisz kulami twych armat.
ELEKTOR *(całuje go w czoło).*
Będzie, jak pragniesz: tem pocałowaniem
Niech się wypełni twa ostatnia prośba!
Do tej ofiary z ręki siostrzenicy
Zmuszony byłem przez wojenne fata,
Ale z każdego słowa, które mówisz,
Spoziera ku mnie jasny wzrok zwycięstwa.
Wranglowi taką nakreślę odpowiedź:
„Moja Natalja jest oblubienicą
Księcia Homburgu, skazanego prawem;
Niechże ją teraz na polu rozprawy
Duchowi jego, na czele chorągwi
W bój kroczącemu, jeśli chce, odbiera!“ *(całuje go po raz drugi i podnosi)*
KSIĄŻĘ No, patrz: tem słowem wróciłeś mi życie...
Teraz uproszę ci każdą pomyślność,
Jaką na tronach z chmur serafinowie
Na bohaterów strząsają z weselem.

Idź i zwyciężaj, o Panie, i przemóż
Cały świat krnąbrny, boś jest tego godzien!
ELEKTOR Straży, niech książę wraca do więzienia!

SCENA ÓSMA

Księżna i Księżniczka ukazują się w drzwiach w towarzystwie dam dworu; pozostali jak poprzednio.

KSIĘŻNICZKA O matko, pozwól! Mówisz: nie przystoi,
Miłość do niego — a oto dziś przecie
Najwyższa moja przystojność jest w niej.
Och, przyjacielu drogi, nieszczęśliwy...
KSIĄŻĘ *(przerywa)* Dalej!
TRUCHS *(zatrzymując go)* Przenigdy, książę — nigdy, książę!
*(Wielu oficerów zagradza mu drogę)*
KSIĄŻĘ Zabierzcie mnie stąd.
HOHENZOLLERN Czyż twojego serca
To nie porusza?
KSIĄŻĘ Tyrani, czyż chcecie
Łańcuchem wlec mnie na miejsce mej kaźni?
Prowadź — skończyłem rachunki ze światem *(odchodzi ze strażą)*
KSIĘŻNICZKA *(wspierając się na piersi ciotki)*
Niechaj mnie ziemi pochłonie głębina!
Pocóż mi dłużej patrzeć w blask słoneczny?

SCENA DZIEWIĄTA

Poprzedni, z wyjątkiem Księcia Homburgu.

MARSZAŁEK Boże, czy los ten musiał się wypełnić?...
ELEKTOR *(rozmawia tajemnie i gorąco z jednym z oficerów)*
KOTWITZ *(zimno)* Książę i Panie! Czy po tem, co zaszło,
Możemy odejść?
ELEKTOR Jeszcze nie w tej chwili;
Powiem ci o tem, kiedy będziesz wolny *(przez chwilę mierzy go wzrokiem, później bierze papiery, które mu Paź podał ze stołu, i zwraca się z niemi do Marszałka)*
Tu paszport posła królewskiego, Horna —
Wedle życzenia księcia i kuzyna,
Które winienem spełnić, bo przyrzekłem;
Do dnia trzeciego znów podejmę wojnę *(Pauza)*
ELEKTOR *(rzuca okiem na wyrok śmierci)*

Osądźcie sami: wszak książę Homburgu
W przeciągu roku przez butę i płochość
Dwóch najpiękniejszych pozbawił mnie zwycięstw,
A nawet trzecie niebacznie mi popsuł;
Przeszedłszy taką szkołę w krótkim czasie,
Czyż po raz czwarty mamy ryzykować?

TRUCHS Jak to, mój boski — jak to, uwielbiany?

ELEKTOR Chcecie? Więc chcecie?

KOTWITZ Na żywego Boga!
Mógłbyś się znaleźć nad brzegiem przepaści,
A on, by pomóc ci, by cię ratować —
Miecza nie wyjmie z pochwy bez rozkazu!

ELEKTOR *(drze wyrok śmierci)*
A zatem proszę za mną do ogrodu *(Wszyscy odchodzą).*

SCENA DZIESIĄTA

Ront wprowadza Księcia Homburgu przez tylną furtę. Stranz. Książę ma zawiązane oczy. Oficerowie ze strażą. Z dali słychać marsz żałobny na trąbkach. Scena: jak w pierwszym akcie. Znowu noc.

KSIĄŻĘ Nieśmiertelności, nareszcie mam ciebie!
Przeświecasz ku mnie poprzez te opaski
Na oczach moich blaskiem słońc tysiąca.
U ramion moich wyrastają skrzydła;
Duch mój szybuje przez ciche etery...
Jak okrętowi, wichrem porwanemu,
Niknie w oddali port pełen wesela —
Tak moje życie znika całe w mroku...
Jeszcze kolory i kształty rozróżniam;
A teraz... wszystko rozwiewa się w mgle *(Książę siada na ławce, którą przybito na środku sceny dokoła dębu. Rotmistrz Stranz odchodzi o kilka kroków i patrzy wgórę rampy)*

KSIĄŻĘ Jakże cudownie pachną tu fiołki...
Czujesz?

STRANZ To zapach goździków, lewkonij.

KSIĄŻĘ Skąd się tu wzięły?

STRANZ Trudno mi powiedzieć!
Pewnie dziewczyna jakaś w nich się kocha.
Może ci zerwać goździk?

KSIĄŻĘ O, kochany!
W domu odrazu włożę go do wody!

## SCENA JEDENASTA

Elektor z wieńcem wawrzynowym; z wieńca zwisa złoty łańcuch. Elektorowa, Księżniczka Natalja, Feldmarszałek Dörfling, Kotwitz, Hohenzollern, Goltz i inni; damy dworu i oficerowie z pochodniami zjawiają się na schodach rampy. Hohenzollern podchodzi do balustrady i daje Stranzowi znak chustką, na co ten zostawia Księcia i rozmawia na dalszym planie ze strażą.

KSIĄŻĘ Mój miły, jakiż to blask na mnie spływa?
STRANZ *(wracając)* Zechciej łaskawie, mój książę, wstać z ławki.
KSIĄŻĘ Co to się dzieje?
STRANZ Ach, nic, nic strasznego:
Tylko ci oczy znowu chcę rozwiązać.
KSIĄŻĘ Wybiła mąk mych ostatnia godzina?
STRANZ Tak: cześć i chwała, boś tego jest godzien!

Elektor podaje wieniec, na którym wisi łańcuch — Księżniczce, ujmuje jej rękę i sprowadza z rampy do ogrodu. Panie i panowie za nimi. Księżniczka otoczona pochodniami podchodzi do Księcia, który — zdziwiony — wstaje; wieńczy go, zawiesza mu łańcuch, a rękę swoją przyciska do jego serca. Książę mdleje.

KSIĘŻNICZKA Nieba! ta radość go zabiła.
HOHENZOLLERN *(podnosi go)* Wody!
ELEKTOR Niechaj go zbudzą armatnie wystrzały *(Strzały armatnie; marsz; na zamku zapalają się światła)*
KOTWITZ Cześć Homburskiemu Księciu!
OFICEROWIE Chwała, chwała!
WSZYSCY Chwała zwycięscy w ferbellińskiej bitwie!
KSIĄŻĘ Nie — to sen chyba?
KOTWITZ Sen — cóżby innego?
WIELU OFICERÓW A teraz w pole!
TRUCHS W bój, w bój!
MARSZAŁEK Po zwycięstwo!
WSZYSCY I odtąd — biada wszystkim naszym wrogom!

Przełożył
JAN SZTAUDYNGER

WASSAN-GIREJ DŻABAGI

# MONGOLJA I KONFLIKTY NA DALEKIM WSCHODZIE

Od czasu ogłoszenia w 1931 r. niepodległej Mandżurji Japończycy prowadzą energiczną akcję polityczną, militarną i gospodarczą w całej Azji Wschodniej, zmierzającą do opanowania zarówno Chin Północnych, jak i ziem mongolskich. Te ostatnie znajdują się, jak wiadomo, poczęści pod wpływami chińskiemi, poczęści zaś — pod kontrolą sowiecką. Całość ich składa się na dwa olbrzymie rejony: Mongolję Wewnętrzną, należącą do Chin, i Mongolję Zewnętrzną, czyli Mongolską Republikę Ludową — zależną formalnie również od Chin, lecz faktycznie oderwaną od niej już oddawna i znajdującą się obecnie pod przemożnemi wpływami Moskwy i w ścisłem z nią przymierzu wojskowem.

O polityce japońskiej — tak w Chinach Północnych (prowincje Szansi, Hopei i Szantung) jak i Mongolji Wewnętrznej — decyduje położenie geograficzne tych krajów w bezpośredniej bliskości z Mandżurją, ich obszar, liczba ludności i chłonność ich rynków, oraz ogromne bogactwa naturalne. Istotnie: posiadanie tych rejonów zapewni Japonji nietylko panowanie na dłuższą metę nad Mandżurją, lecz również ekspansję w kierunku Mongolji Zewnętrznej; natomiast opanowanie tego ostatniego kraju pozwoli jej wyjść, w razie wojny z Sowietami, na tyły dalekowschodniej armji czerwonej i odciąć całą Syberję wschodnią od rejonu jeziora Bajkał aż do Oceanu Spokojnego. O tem, jak wielkie interesy wchodzą w danym wypadku w grę, świadczyć może fakt, że trzy wymienione północne prowincje chińskie stanowią obszar 681.000 km² i liczą ponad 74 milj. ludności, podczas gdy Mongolja Wewnętrzna zajmuje przestrzeń około 1 milj. km² i posiada mniej więcej tyluż mieszkańców. Ponadto — oba te kraje posiadają olbrzymie wprost bogactwa naturalne: węgiel, rudy żelazne, sól i t. d.

Liczne wiadomości, nadchodzące niemal codziennie z Dalekiego Wschodu, o incydentach granicznych, z jednej strony, między Sowietami a Mandżurją, z drugiej zaś — między Mandżurją a Mongolją Zewnętrzną, oraz japońskie posunięcia polityczne w Chinach Północnych i w Mongolji Wewnętrznej przykuwają uwagę całej prasy światowej do sytuacji, wytworzonej we wschodniej Azji. Nikt już nie wątpi, że dojdzie tu, wcześniej czy później, do walnej rozgrywki między Japonją a Sowietami i że w tym zatargu obie Mongolje powołane będą do odegrania roli prawie decydującej. Eksperci wojskowi uważają, że już sama sytuacja geograficzna Mongolji Wewnętrznej najlepiej nadaje się do dywersji strategicznej armji japońskiej, bo przez obie Mongolje prowadzi najkrótsza droga do serca Syberji — jeziora Bajkalskiego, a zarazem na tyły wojsk czerwonych, rozlokowanych na granicy Mandżurji i nad Oceanem Spokojnym. Dodajmy, że na północy, właśnie w rejonie Bajkału, mieszkają Burjaci — również pochodzenia mongolskiego, a na północnym i południowym zachodzie — ludy pochodzenia turko-tatarskiego, a więc spokrewnione z Mongołami i licząc ponad 15 miljonów głów.

W marcu ub. r. ajencja sowiecka „Tass" doniosła z Szanghaju o tem, że rząd cesarstwa mandżurskiego organizuje na swem terytorjum (w rejonie Hajlar) oddziały mongolskie i że otworzył specjalną szkołę wojenną dla Mongołów. Został już rzekomo zorganizowany dwutysięczny oddział mongolski, który stopniowo zostanie powiększony do dwóch dywizyj. Na czele przyszłej armji mongolskiej mają stanąć oficerowie mongolscy, którzy otrzymali wyszkolenie wojskowe w Japonji. Potwierdzenie zamiarów japońskich co do utworzenia specjalnej armji mongolskiej i wykorzystania Mongołów w ewentualnej wojnie japońsko-sowieckiej znajdujemy również w korespondencji, nadesłanej z Szanghaju i zamieszczonej w ub. roku w piśmie rosyjskiem *Znamia Rossiji*, wychodzącem w Pradze. W korespondencji tej zaznaczało się przedewszystkiem, że na terytorjum Mandżukuo i Mongolji Wewnętrznej odbywa się w przyśpieszonem tempie formowanie oddziałów mongolskich przez japońskich instruktorów. Już latem mają być ukończone prace nad utworzeniem kadr dla przyszłej 200 — 250-tysięcznej armji; Mongolja więc ma być powołana do odegrania swej roli w przyszłej wojnie japońsko-sowieckiej. Z drugiej strony — uwolnienie Mongolji stanie się w tej wojnie dla Japonji m. in. usprawiedliwieniem jej akcji zaczepnej nazewnątrz.

Poza tem korespondent podnosił, że Japończycy liczą również i na Turkiestan Chiński, czyli Wschodni (Sin-Kiang), gdzie większość ludności stanowią muzułmanie. W tym kraju Japonja cieszy się wielką popularnością i sympatją. Jak tylko rozpoczęło się, dwa lata temu, powstanie w Turkiestanie Chińskim, Japończycy odrazu je poparli. W ten sposób tworzy się dla Japonji baza sprzymierzeńcza w sąsiedztwie z Turkiestanem Sowieckim, to znaczy na głębokich tyłach głównej widowni działań wojennych. Japonja,

zdaniem korespondenta, wykorzysta szeroko, w razie wojny, Mandżurów, Mongołów, a może i Turkmenów, i nada jednocześnie przyszłej wojnie charakter wyzwoleńczy uciskanych narodów.

Ponieważ ze względu na przeciąganie się zatargu japońsko-sowieckiego armja czerwona miała już dosyć czasu, by przygotować się na wypadek starcia na granicach Mandżukuo — Japończycy mają ostatnio zamiar zadać Sowietom cios od strony Mongolji: dotychczasowe przygotowania sowieckie straciłyby wtedy poważnie na swem znaczeniu. To też Japonja pracuje nad okrążeniem Mongolji Wewnętrznej, oraz nad rozbudowaniem baz technicznych w tym właśnie kierunku, a więc w Bardze i Czaharze. Bazy japońskie w Mongolji coraz bardziej zbliżają armję japońską do Mongolji Zewnętrznej czyli Sowieckiej. Japończycy potrafili już, dzięki swym posunięciom w Czaharze i w kierunku Erlan, przeciąć wszelką komunikację Mongolji Wewnętrznej ze światem zewnętrznym, o ile chodzi o drogi prowadzące na południe; wolny dla komunikacji został jedynie kierunek w stronę Tybetu. Do Mongolji Wewnętrznej wysyłają Japończycy oddziały czysto mongolskie, znajdujące się pod kierownictwem japońskich instruktorów. Dzięki tym wszystkim zarządzeniom, odległość Urgi (Ułan-Batoru), stolicy Mongolji Zewnętrznej, od baz japońskich została skrócona z 1,000 km do 480 km.

W stosunku do emigracji rosyjskiej Japończycy nie ustalili jeszcze jasnej linji politycznej. Jednak mówi się ostatnio o japońskim zamiarze stworzenia niepodległego państwa Burjatów. Ruch narodowy wśród Jakutów także daje się spostrzec. Poza tem Japończycy usiłują nawiązać kontakt z emigracją ukraińską i w prasie japońskiej coraz częściej ukazują się artykuły o kwestji ukraińskiej.

Ostatnie wiadomości wskazują istotnie na to, że Japończycy i Mandżurowie prowadzą systematyczną pracę penetracji wojskowej do Mongolji Wewnętrznej, gdzie jednocześnie przygotowuje się całkowite jej odłączenie od Chin. Z drugiej strony — i Sowiety prowadzą analogiczną akcję w Mongolji Zewnętrznej, by móc stawić tam opór ewentualnemu atakowi japońsko-mandżurskiemu. Jak doniosły w kwietniu b. r. ajencje telegraficzne z Dalekiego Wschodu, w Mongolji Zewnętrznej czynione są gorączkowe przygotowania. Dawna droga łącząca Ułan-Bator (stolica Mongolji) z Wierchnie-Udinskiem (na kolei Transbajkalskiej) została przebudowana na drogę strategiczną. Dotychczas droga ta była uczęszczana jedynie przez karawany; obecnie kursują na niej liczne samochody.

Znawcy stosunków w Mongolji Zewnętrznej uważają, że siły wojskowe tego kraju wynoszą w danej chwili nie mniej niż 150.000; w samym Ułan-Batorze znajduje się około 60.000 żołnierzy, oraz dwie eskadry samolotów. W Mongolji wprowadzono ostatnio powszechny obowiązek służby wojskowej dla młodzieży w wieku od 18 lat. Wyćwiczeniem armji kierują instruk-

torzy sowieccy oraz oficerowie mongolscy, którzy kształcili się w sowieckich akademjach wojennych. Armja mongolska nosi charakter zupełnie nowoczesny. Kawalerja mongolska, która słynęła zawsze z niezwykłej wytrwałości koni i jeźdźców, obecnie nadal stanowi główną część armji. Dzięki Sowietom, dysponuje Mongolja także oddziałami zmotoryzowanemi. Specjalną uwagę zwrócono na rozwój lotnictwa; narazie, coprawda, 90% stanowią lotnicy sowieccy, a jedynie 10% — lotnicy mongolscy. Na granicy mandżurskiej rząd mongolski zgromadził podobno znaczne siły wojskowe. Nadgraniczne wojska mongolskie są zaopatrzone obficie w czołgi, samochody pancerne i samoloty.

Moskwa i Mongolja Zewnętrzna zawarły w dniu 12 marca b. r. pakt o wzajemnej pomocy, który wywołał wielkie niezadowolenie w Mandżurji i Japonji i protest rządu nankińskiego, który twierdził, że pakt powyższy narusza układ sowiecko-chiński z 1924 r. [1]). Wkrótce po podpisaniu tego protokułu rząd nankiński zgłosił w Moskwie swój protest. Nota chińska z dnia 7 kwietnia podniosła, że pakt sowiecko-mongolski stanowi złamanie przez Moskwę artykułu V chińsko-sowieckiego porozumienia z 31 maja 1924 r., mianowicie obowiązku uznawania przez Moskwę Mongolji Zewnętrznej za integralną część Republiki Chińskiej i zwierzchnictwa tej ostatniej nad Mongolją. Rząd nankiński oświadczał wkońcu, że nie uznaje protokułu sowiecko-mongolskiego i że dlatego nie wiąże on wcale Chin. W odpowiedzi nota sowiecka z dnia 8 kwietnia twierdziła, że sowiecko-mongolski protokuł z 12 marca b. r. nie narusza traktatu z 31 maja 1924 r., gdyż protokuł ten nie obala suwerenności Chin i nie zawiera żadnych pretensyj terytorjalnych So-

---

[1]) Pakt sowiecko-mongolski o wzajemnej pomocy brzmi następująco:

Art. 1. Na wypadek groźby napaści na terytorjum Z. S. R. R. lub Mongolskiej Republiki Ludowej ze strony obcego mocarstwa rządy Z. S. R. R. i Mongolskiej Republiki Ludowej zobowiązują się niezwłocznie rozpatrzyć wspólnie powstałą sytuację i wydać wszelkie zarządzenia, jakie mogą się okazać konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa na swem terytorjum.

Art. 2. Rządy Z. S. R. R. i Mongolskiej Republiki Ludowej zobowiązują się, na wypadek napaści zbrojnej na jedną z układających się stron, do udzielenia sobie wzajemnej pomocy — nie wyłączając pomocy wojskowej.

Art. 3. Rządy Z. S. R. R. i Mongolskiej Republiki Ludowej uważają, iż jest rzeczą jasną, że wojska jednej ze stron znajdować się będą, na podstawie wzajemnego porozumienia, na terytorjum drugiej strony — celem wypełnienia zobowiązań, przedstawionych w art. 1 lub 2, i będą ewakuowane z tego terytorjum niezwłocznie w chwili, gdy obecność ich przestanie być potrzebna — tak jak to miało miejsce w 1925 r. przy ewakuacji wojsk sowieckich z obszarów Mongolskiej Republiki Ludowej.

Powyższy protokuł zredagowany został w dwóch egzemplarzach (w języku rosyjskim i mongolskim), przyczem oba teksty uważane są za równoznaczne. Wchodzi on w życie z chwilą podpisania i będzie obowiązywał przez okres 10 lat od chwili podpisania.

wietów w stosunku do Chin lub Mongolji. Dalej — nota sowiecka podnosiła, że protokuł sowiecko-mongolski nie pociąga za sobą żadnych zmian w stosunkach między Sowietami i Chinami, oraz między Sowietami i Mongolją. Potwierdzono także w nocie ponownie, że Moskwa uznaje całkowicie wypływające dla siebie z traktatu chińsko-sowieckiego z 1924 r. zobowiązania; podkreślono dalej wyłącznie obronny charakter porozumienia sowiecko-mongolskiego. Rząd nankiński nie zadowolił się jednak temi objaśnieniami i powtórzył swój protest w kilka dni później.

Podczas gdy Chiny ograniczają się do protestów i not, Japonja prowadzi w dalszym ciągu czynną akcję oderwania od Nankinu pozostałych ziem mongolskich, mianowicie Mongolji Wewnętrznej. Ostatnie wiadomości z Pekinu zapowiadają, że w najbliższej przyszłości należy się spodziewać ogłoszenia niepodległej Mongolji Wewnętrznej z księciem Teh Wangiem, obecnym przewodniczącym rady politycznej tego kraju, na czele.

Jeżeli chodzi o dzisiejszy stan polityczny Mongolji Wewnętrznej, kraj ten znajduje się od szeregu lat w stanie ewolucji w kierunku wyzwalania się z pod władzy chińskiej. Ośrodkiem ruchu wyzwoleńczego Mongolji Wewnętrznej jest starożytny klasztor buddyjski w Pailingmiao, w okolicach Kałganu. Na czele akcji stoi trzydziestopięcioletni książę Teh Wang, prezes związków (sejmów) czyli plemion; trzy z tych związków dostały się, po okupacji przez Japończyków prowincji Dżehol (Żeche), pod władzę mandżurską. Mimo tego, ruch separatystyczny, zapoczątkowany jeszcze w 1928 r., nie ustał. Książęta mongolscy wysłali do Nankinu w 1931 r. drugą z rzędu delegację (pierwsza miała miejsce w 1928 r.), która wysunęła szereg żądań, zmierzających do nadania Mongolji Wewnętrznej szerokich praw autonomicznych. Z powodu niepowodzenia tej misji, w 1933 r. ruch separatystyczny w Mongolji przybrał już charakter ostrzejszy; zmusiło to rząd nankiński do wysłania swego ministra spraw wewnętrznych do Pailingmiao, celem ułożenia się z księciem Teh Wangiem i innymi przywódcami mongolskimi co do przyszłej autonomji.

Po powrocie ministra do Nankinu rząd w marcu 1934 r. powziął decyzję powołania do życia „Komitetu do spraw politycznych Mongolji“ (z siedzibą w Pailingmiao), znajdującego się pod kontrolą Juanu wykonawczego w Nankinie. Komitet składa się z 28-miu książąt mongolskich, mianowanych przez rząd nankiński, oraz z 15-tu przedstawicieli szlachty mongolskiej i 13-tu przedstawicieli ludu. Komitetowi powierzone są: sprawy cywilne, przemysłu, oświaty, bezpieczeństwa i finansów; sprawy dyplomatyczne i wojskowe pozostają w rękach rządu nankińskiego. Przy komitecie działa urzędnik chiński w roli „komisarza autonomji Mongolji Wewnętrznej“, posiadający prawo veta co do wszystkich jego uchwał. Jak widać z powyższego, nadana autonomja nosi charakter nader ograniczony. Rzecz jasna, że separatystów mon-

golskich te ustępstwa nie zadowoliły; to też książę Teh Wang prowadzi nadal propagandę za całkowitem odłączeniem Mongolji Wewnętrznej od Chin i ogłoszeniem jej niepodległości. W akcji tej książę jest, jak już wiadomo, popierany przez Japończyków. Do separatystów przyłączyła się, oprócz książąt, również i młodzież mongolska, wykształcona na uniwersytetach japońskich lub europejskich.

Co do Mongolji Zewnętrznej, czyli Mongolskiej Republiki Ludowej, znajdującej się od lat pod przemożnemi wpływami Moskwy — to odłączenie jej od Mongolji Wewnętrznej jest oparte przedewszystkiem na podziale geograficznym: piaski pustyni Gobi oddzielają ją od Mongolji Wewnętrznej. Pod względem politycznym podział ten został dokonany już w drugiej połowie XVII-go w., zaraz po dojściu do władzy w Chinach dynastji mandżurskiej. Rzecz naturalna, że stepy mongolskie położone w bezpośredniej bliskości Wielkiego Muru Chińskiego łatwiej i szybciej uległy zdobywczej polityce kolonizacyjnej Chińczyków, aniżeli Mongolja Zewnętrzna, położona poza gorącemi obszarami pustyni Gobi. Wraz ze stopniowem ugruntowaniem na Dalekim Wschodzie panowania Rosji carskiej, Mongolja Zewnętrzna wciągała się coraz bardziej w orbitę wpływów rosyjskich; gdy zaś w 1911 r. wybuchła rewolucja w Chinach, książęta mongolscy wypędzili (18 listopada 1911 r.) urzędników chińskich z Urgi (Ułan-Bator) i ogłosili niepodległość swego kraju, proklamując zwierzchnika kościoła buddyjskiego, Hutuchtę, Wielkim Chanem (Bogdo Chanem), który koronował się dnia 16 grudnia 1912 r. Wkrótce potem władzę Hutuchty uznała i Mongolja Wewnętrzna. Dnia 12 października nowe państwo zawarło układ z Rosją, która uznała Hutuchtę i przyrzekła Mongolji pomoc wojskową w razie zaatakowania jej przez Chiny.

Dnia 23 listopada 1913 r. została w Pekinie ogłoszona deklaracja rosyjsko-chińska o Mongolji, a 25 maja 1915 r. odbyło się w Kiachcie „potrójne" porozumienie o autonomicznej Mongolji Zewnętrznej, pozostającej w zależności suwerennej od Chin, które otrzymały prawo utrzymywania w Urdze, Kobdo i Majmaczenie swych przedstawicieli, a kupcy chińscy zostali zwolnieni od obowiązku uiszczania ceł. Mongolja Wewnętrzna i Barga zostały wcielone z powrotem do Chin właściwych. Rosja mimo tego nie ustawała w dążeniach do gospodarczego opanowania Mongolji, drogą udzielania rządowi autonomicznemu pożyczek. Po wybuchu wojny światowej Rosja traci swe wpływy w Mongolji, a jednocześnie wzmagają się tam gospodarcze i polityczne wpływy Chin.

Rewolucja rosyjska w 1917 r. budzi wśród Mongołów nadzieję odzyskania całkowitej niepodległości. Obecność wojsk japońskich na Syberji przyczynia się do szybkiego rozwoju idei Wielkiej Mongolji, rozciągającej się od jez. Bajkał do Tybetu i od Mandżurji do Turkiestanu Wschodniego (chiń-

skiego); idea ta spotkała się jednak ze sprzeciwem ze strony duchowieństwa buddyjskiego i Hutuchty, który pragnął zachować neutralność. Skończyło się na tem, że rząd chiński, dzięki przekupstwu dygnitarzy mongolskich, w 1919 r. opanował z powrotem Mongolję, zamianował tam swego gubernatora i okupował swemi wojskami Urgę. Stan ten trwał niedługo, bo już w 1920 r. zaczęły przybywać do Mongolji, szukając tam schronienia, resztki rozbitych wojsk atamanów Dutowa i Annenkowa; następnie zjawił się z 4.000 wojsk rosyjskich jen. baron Ungern-Starenberg. Ten energiczny i dzielny oficer, który marzył o odbudowaniu imperjum Dżingis-Chana, zdobył zaufanie Mongołów, wypędził Chińczyków z Urgi i przywrócił koronę Hutuchcie; nie ujawnił jednak w następstwie równowagi ducha, został zdradzony przez podwładnych oficerów i Mongołów, a wydany bolszewikom, stracony został przez nich w 1921 r.

Odtąd Rosja Sowiecka staje się niepodzielnie panią sytuacji w Mongolji Zewnętrznej i tworzy wśród młodzieży mongolskiej stronnictwo rewolucyjne, które opanowuje rząd, lecz nie usuwa Wielkiego Chana. Gdy dnia 20 maja 1924 r. umiera pierwszy i ostatni Bogdo-Chan, między Sowietami i Chinami zawarty został układ, uznający Mongolję za część składową Chin. Jednak w listopadzie tegoż roku Wielkie Zgromadzenie, z udziałem 77 przedstawicieli różnych dzielnic Mongolji, uchwaliło nową konstytucję i ogłosiło niepodległą Mongolską Republikę Ludową. Od tego czasu Sowiety uzyskują w Mongolji Zewnętrznej olbrzymie wpływy, opanowują całe życie gospodarcze i polityczne i kierują jej polityką zagraniczną. Chiny, które Moskwa uznała za zwierzchnika Mongolji, już nie mają tam żadnych wpływów, ani swego przedstawicielstwa, ani swych wojsk.

W marcu r. bież. Sowiety, jak wspominaliśmy wyżej, zawarły z Mongolją pakt o wzajemnej pomocy i przystąpiły do organizowania na szerszą skalę obrony kraju przeciw ewentualnemu napadowi japońsko-mandżurskiemu. Stronnictwo, rządzące w Mongolji Zewnętrznej, zwane stronnictwem narodowo-rewolucyjnem, utrzymuje od początku swego powstania ścisły kontakt z III Międzynarodówką; rząd składa się wyłącznie z członków tego stronnictwa. Stolica, Urga, została przemianowana na Ułan-Bator-Hoto, czyli „miasto czerwonych bohaterów".

Jeżeli chodzi o sytuację międzynarodową Mongolji Zewnętrznej, utrzymuje ona jedynie stosunki z Sowietami, a jej niepodległość jest gwarantowana jednostronnie przez Moskwę. Ta niepodległość jest zupełnie iluzoryczna, gdyż kraj ten zostaje nadal oderwany od całego świata. Nie utrzymuje on żadnych stosunków ani z Chinami, swym nominalnym suwerenem, ani z Mandżurją, mimo że ta ostatnia domaga się tego i grozi komplikacjami, jeśli Mongolja nie zgodzi się na wzajemną wymianę poselstw. W tych warunkach handel zagraniczny Mongolji Zewnętrznej znajduje się głównie w rę-

kach Sowietów, które importują tam więcej towarów, aniżeli Chiny, Japonja i t. d.

Po opanowaniu Mongolji Zewnętrznej przez wpływy sowieckie liczni książęta i wyższe duchowieństwo oraz zamożniejsi Mongołowie opuścili Mongolję Zewnętrzną, udając się do Mongolji Wewnętrznej lub do Bargi (w Mandżurji), by tam szukać schronienia. Emigranci ci prowadzą odtąd propagandę antybolszewicką, a projapońską i promandżurską — w nadziei, że przy poparciu Japonji i Mandżurji potrafią utworzyć niepodległe państwo, składające się z większości ziem mongolskich. Japońskie i mandżurskie sympatje Mongołów łatwo wyjaśnić tem, że Mandżurja prowadzi (oczywiście, na życzenie Japonji) politykę sprzyjającą ich dążeniom narodowym. Istotnie: w rejonach zamieszkałych przeważnie przez Mongołów, jak naprzykład okręg Hajlaru (Barga), Mongołowie mandżurscy korzystają z szerokiej autonomji administracyjnej i tworzą nawet, pod kierownictwem instruktorów japońskich, własne wojsko. O analogicznej akcji, prowadzonej ostatnio na terenie Mongolji Wewnętrznej w celu zorganizowania podstaw przyszłego państwa mongolskiego, wspominaliśmy już wyżej. Z powyższych względów nie ulega wątpliwości, że większa część narodu mongolskiego stanie po stronie Japonji i Mandżurji, gdyby na Dalekim Wschodzie wybuchła wojna ze Związkiem Sowieckim.

*

Mimo że ostatniemi czasy o Mongolji coraz częściej wspomina się w telegramach prasowych, mimo że fala mongolska zalewała już niejednokrotnie Azję i Europę (najazdy za czasów Atylli, Dżingis-Chana i Tamerlana), jednak Mongolja pozostaje dla ogółu zachodniego krajem mitycznym. Coprawda, od tych oddalonych czasów Mongołowie nie występowali ponownie na widowni dziejowej; można nawet twierdzić, że od wspomnianych najazdów nie posiadali oni już żadnej historji: powrócili bowiem do spokojnego życia pasterskiego. Odtąd nietylko nikomu nie zagrażali podbojem, lecz sami stali się zdobyczą Chin, których byli niegdyś panami. Jednak potrafili, mimo wszystko, zachować swą odrębność polityczną, społeczną, kulturalną i gospodarczą.

Czemu właściwie zawdzięcza Mongolja tę okoliczność, że będąc położona pomiędzy dwoma wielkiemi państwami, Sowietami i Chinami, w ogniu ich pożądań — nie została ostatecznie przez nie pochłonięta? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy nietylko we współzawodnictwie rosyjsko-chińskiem, lecz przedewszystkiem w sytuacji geograficznej i rzeźbie powierzchni kraju: na Mongolję składają się pustynne płaskowzgórza, wznoszące się do 4.600 stóp nad poziom morza i otoczone prawie nieprzerwanemi łańcuchami gór, które jednocześnie stanowią granice fizyczne (naturalne) i etnograficzne obu Mongolij. Na północy oddzielają Mongolję od Związku Sowieckiego wysokie góry Ałtaju Rosyjskiego, grzbiet Tannu-uła i góry Kentej wraz ze swemi

rozgałęzieniami północno-wschodniemi, Eren Daba. Wschodniej granicy Mongolji broni grzbiet Wielki Chingan, zachodniej i południowo-zachodniej — potężne masywy Ałtaju Mongolskiego, czyli Gobijskiego. Jedynie na południo-wschodzie cały ten olbrzymi pierścień grzbietów górskich przerywa się; płaskowzgórze mongolskie Iń-Szan zniża się tam powoli w stronę Wielkiego Muru Chińskiego i stopniowo zlewa się z niziną Chin Północnych.

Ogólna długość granic naturalnych Mongolji wynosi około 8.600 km, z czego około 2.900 km przypada na granicę wspólną z Sowietami, a reszta — z Chinami i Mandżurją. Wewnątrz tych granic ogólny obszar Mongolji (Zewnętrznej i Wewnętrznej) stanowi około 2.780.000 km$^2$, czyli równa się jednej trzeciej części całej Europy. Ta olbrzymia przestrzeń rozpada się na trzy odrębne rejony: północno-zachodni (Mongolja górzysta), południowo-wschodni (Mongolja równinna) i Ordos, stanowiący część pustyni Wielkiego Gobi. Przeciętna wysokość każdego z tych rejonów wynosi odpowiednio 5.000, 3.700 i 3.100 stóp nad poziom morza. Dodamy, że pierwszy z nich jest, dzięki obfitości rzek, bogactwu lasów i żyznej glebie, bardziej zaludniony niż pozostałe, naogół pozbawione wody, niekiedy zaś i roślinności.

Klimat Mongolji jest nader surowy, ze względu na swój charakter lądowy. Lato odznacza się niezwykłemi upałami (w cieniu temperatura dochodzi do 38$^0$), zimą temperatura opada do — 42$^0$ C. Zatem — skala wahań rocznej temperatury wynosi około 80$^0$. Wiosna zaczyna się w maju, zima — w październiku. Ogólny widok stepu mongolskiego jeden z podróżników europejskich opisuje w ten sposób: „Bez miast i budynków, bez sztuki i przemysłu, nie posiada on lasów ani pól; dokoła wszędzie ciągną się łąki. Znalazłszy się w tych rozległych ustroniach, których krawędzie giną daleko na widnokręgu, odnosimy wrażenie, iż jesteśmy pośrodku ogarniętego spokojem oceanu. Widok stepów mongolskich nie wzbudza radości ani smutku, ale raczej oba te stany razem — jakieś uczucie melancholijno-religijne, które podnosi zwolna duszę, lecz nie odrywa jej gwałtownie od rzeczy doczesnych".

W tych warunkach Mongoł jest przez samą naturę skazany na życie koczownicze i pasterskie. Miejscami jedynie spotyka się ludność osiadłą, rolniczą. Natomiast znaczna większość wędruje ze swemi licznemi stadami w poszukiwaniu trawy dla swych owiec, wielbłądów, bydła i koni. Ponieważ całe bogactwo Mongoła stanowią zwierzęta, żywi się on prawie wyłącznie mlekiem (kumysem) i mięsem. Wełna i skóry dostarczają mu ubrania, nakrycia głowy i nawet namiotów. Koń w tych stepach jest głównym pomocnikiem człowieka, gdyż dostosowuje się on najlepiej do klimatu kontynentalnego, ułatwia koczownikowi przenoszenie się z kibitkami z miejsca na miejsce, obronę — w razie napadu ze strony nieprzyjaciela i ucieczkę — w razie wybuchu strasznych na stepie pożarów.

Przyzwyczajenie Mongoła do jazdy konnej jest tak wielkie, że „poniekąd czuje się wykolejony i wytrącony z równowagi, jeśli wypadnie mu postawić nogę na ziemi. Chód jego jest ciężki i ważki, łukowate kształty nóg, tułów schylony ku przodowi, wzrok przebiegający z miejsca na miejsce, — wszystko znamionuje jeźdźca, człowieka spędzającego większą część swego żywota na koniu". Nawet w podróży Mongoł nie zadaje sobie trudu, by zejść z konia chcąc się przespać. Również i kobiety mongolskie uczą się specjalnie jazdy konnej. Koń i wytrwały jeździec mongolski od niepamiętnych czasów zapewnia w tym obszernym kraju szybką komunikację i przesyłanie nowin. Jeździec zastępuje poniekąd telegraf, którego sieć jest tam dotychczas nader słabo rozwinięta. Mongolja posiada oryginalną pocztę, funkcjonującą za pośrednictwem t. zwanych „urtońskich" stacyj: są one odległe od siebie o 36 — 60 km; na każdej z nich dyżuruje pewna liczba osiodłanych koni i każdy kurjer, jadący z pismem urzędowem, otrzymuje świeżego konia na zmianę. Jeżeli pismo jest oznaczone znakiem „Dzara" (ptak) — naczelnik urtonu wysyła go natychmiast, bez odpoczynku, do następnej stacji. Doświadczenie mongolskie uczy, że system ten pozwala kurjerom przebiegać w ciągu 48 godzin do 800 km. Zanotowano ostatnio wypadki, że konny kurjer wyprzedzał na dalszą odległość samochody. Okoliczność ta tłumaczy się naturalnie tem, że Mongolja nie posiada narazie dróg bitych.

Pod względem handlowym na terenie Mongolji Zewnętrznej przeważają wpływy gospodarcze Sowietów, w Mongolji Wewnętrznej — wpływy chińskie. Przywóz obejmuje głównie wyroby włókiennicze, cukier, naftę, wyroby stalowe i żelazo, wywóz zaś — bydło, skóry, wełnę. Należy tu zaznaczyć, że ilość zwierząt domowych w samej Mongolji Zewnętrznej oblicza się na 1.150.000 koni, 228.000 wielbłądów, 1.078.000 sztuk bydła i 7.180.000 owiec, a więc razem przeszło 9,6 milj. sztuk. Mongolja posiada podobno bogate złoża złota, srebra i węgla.

Liczba ludności w Mongolji Zewnętrznej wynosi około 700 — 800.000, w Mongolji Wewnętrznej — około 1.500.000 (czyli razem około 2,2 — 2,3 milj., w tem około 2 milj. Mongołów, reszta Chińczyków). Mongołowie wyznają prawie wyłącznie religję buddyjską w tybetańskiej jej formie, t. zn. lamaizm. Nie wiemy dokładnie, jaka była religja Mongołów przed i w czasie panowania Dżingis-Chana. Biografowie tego władcy twierdzą, że „wierzył on w swe szczęście, ufał mocno, że jest protegowany przez „Wieczne Błękitne Niebo" i działał zawsze z natchnienia przez to najwyższe z pośród innych bóstw". W jednym ze swych rozkazów Dżingis-Chan powiada istotnie: „Obecnie, gdy Niebo rozkazało mi rządzić wszystkiemi narodami..."

W owych czasach Mongołowie otaczali wielką czcią swych szamanów, którzy wpajali w lud wiarę, że obcują z duchami, i byli jednocześnie zna-

chorami i wróżbiarzami. Wpływ szamanów na lud był tak potężny, że nawet jeden z nich, Kekczu, odważył się wystąpić otwarcie przeciw samemu Dżingis-Chanowi i za to postradał życie. Co do obrzędowości — wiemy również, że cesarz Mongołów modlił się do Wiecznego Nieba, wchodząc na wysoką górę, zdejmując czapkę i zarzucając naokoło szyi zdjęty z siebie pas. Misjonarz włoski Plano-Carpini, który jako wysłannik Papieża zwiedził w XIII w. imperjum Dżingis-Chana zaraz po jego śmierci i powrócił w 1247 r. do Rzymu, opowiada, że Mongołowie „wierzą w Boga — stwórcę wszechświata, nagradzającego ludzi według ich zasług. Składają również ofiary bałwanom z wojłoku lub jedwabiu, uważając ich za opiekunów bydła; poza tem wielbią słońce, ogień i księżyc". Wiara w księżyc wśród Mongołów i Tatarów zostawiła po sobie ślad w postaci półksiężyca; symbol ten przynieśli ze sobą Seldżukowie i Turcy z Azji Środkowej do Azji Mniejszej. Przy sposobności warto nadmienić, że półksiężyc nie ma nic wspólnego z Islamem, aczkolwiek w Europie wiążą go z religją muzułmańską. Jak dowodzi turecki uczony, Riza Nur — starożytni Mongołowie i Turcy (Tatarzy) ozdabiali swe namioty i domy chorągwiami („mondżukami"), najczęściej w postaci błękitnego półksiężyca, by w ten sposób ochronić siebie i swą rodzinę przed „złym wzrokiem". Półksiężycami ozdabiano także buńczuki z końskich ogonów.

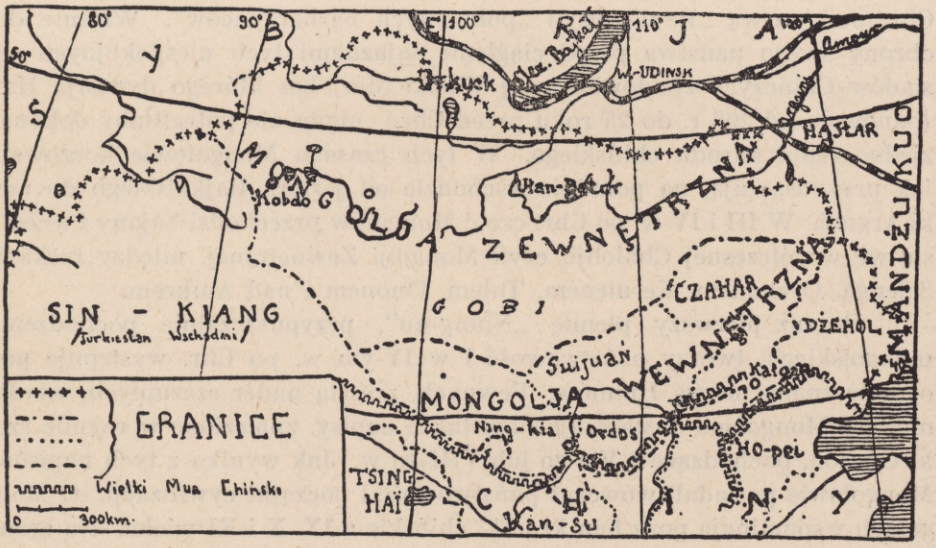
Późniejsze wiadomości o Mongolji znajdujemy w opowiadaniu drugiego znanego podróżnika europejskiego, Marco Polo, który przybył do stolicy cesarza Chin z dynastji Dżingis-Chana, Kubilaja, w 1265 r. Marco Polo pisze w swych pamiętnikach, że Mongołowie wierzą w wielkiego, dostojnego boga, któremu codzień palą kadzidła, zanosząc do niego modły za swe zdrowie. Czczą też innego boga, który zwie się Natigaj i którego obraz, przykryty filcem lub suknem, znajduje się w każdym domu. Temu bożkowi poświęcają żony i dzieci, ustawiając w pokornej postawie żony z lewej, a dzieci — z prawej strony. Uważają go za bóstwo, które dba o ich sprawy ziemskie, chroni ich dzieci i czuwa nad bydłem i dobytkiem.

Od XVI-go w. do Mongolji przenika powoli buddyzm, początkowo w czystej swej formie (indyjskiej), później zaś w formie tybetańskiej (lamaizm). Lamaizm panuje obecnie niepodzielnie wśród wszystkich właściwych Mongołów i pokrewnych im plemion — Burjatów, Kałmuków, Olotów, Torgutów i innych. Wywiera on potężny wpływ we wszystkich dziedzinach życia Mongołów, na ich wierzenia, obyczaje i wogóle na całą ich umysłowość.

Mongolja, tak samo jak Tybet, obfituje w liczne klasztory lamaickie, będące jedynemi niemal ośrodkami kulturalnemi kraju. Lamowie, dzięki swej liczebności (czwarta — piąta część całej ludności) i swej wiedzy, odgrywają niezwykłą rolę zarówno w życiu społecznem, jak i w polityce kra-

ju. Istotna rola lamy w życiu Mongoła z ludu zaczyna się od jego urodzenia i towarzyszy mu przez całe życie do samej śmierci. Wychowanie młodego pokolenia znajduje się wyłącznie w rękach lamów: w każdym klasztorze — nawet najmniejszym, składającym się z 3 — 4 lamów — istnieje jedna czy kilka szkół niższych, średnich i wyższych; wykłady noszą charakter przeważnie teologiczny. Największy klasztor, Da-Chure, do którego odbywają się pielgrzymki, znajduje się w Urdze (dzisiejszy Ułan-Bator, stolica Mongolji Zewnętrznej) i liczy około 13.000 lamów.

Ludność jest nader ściśle związana z temi klasztorami; każda rodzina oddaje, zgodnie ze zwyczajem, jednego z synów (w wieku 7 — 8 lat) do klasztoru jako przyszłego lamę. Lama kończy naukę zwykle dopiero około 40 — 45 lat. Ci z pośród nich, którzy ujawniają specjalne zdolności i zamiłowanie do wiedzy teologicznej i filozoficznej, udają się na dalszą naukę do Tybetu, do słynnych klasztorów w Gumbum i Lhassie. Oprócz fakultetów teologicznych, w wyższych szkołach klasztornych istnieją także wydziały medycyny i astronomji. Medycyna mongolska jest zapożyczona, jak zresztą i sama religja, od Tybetu. Medycyna i astronomja są traktowane jako wiedza tajemna, nie dostępna dla ogółu. Astronomja ogranicza się głównie do układania kalendarzy, do wróżb według ksiąg świętych i t. p.




Zdaniem lamów, ośrodkiem wszechświata jest ziemia, naokoło której obracają się słońce, księżyc i gwiazdy, które są zarazem duchami (bóstwami — *tengri)* i genjuszami. Światło wszystkich ciał niebieskich jest właśnie blaskiem oczu tych duchów. Ponieważ Mongołowie, zgod-

nie z nauką Buddy, wierzą w reinkarnację duszy — nie lękają się wcale śmierci. Mongoł troszczy się jedynie o to, by przyszłe jego życie nie było złe, aby dusza powróciła znowu w ciało ludzkie lub — w gorszym wypadku — w ciało szlachetnego zwierzęcia: konia lub... psa. Pomyślna inkarnacja jest zależna od dobrego prowadzenia się za życia.

Zwierzchnikiem duchownym Mongołów, a do niedawna i cywilnym, był Hutuchta z Urgi, uważany — tak samo jak Dalaj-Lama oraz Panczen-Lama (Taszi-Lama) w Tybecie — za wcielenie Buddy, a więc za żywego Buddę; z tego względu uwielbiano go jako Bogdo-Gegeni (święty Budda). Obecnie, gdy po śmierci (20 maja 1924 r.) ostatniego Hutuchty nie obrano jego następcy ze względu na ogłoszenie w Mongolji Zewnętrznej, pod wpływem sowieckim, Republiki Ludowej — zwierzchnikiem duchownym lamów mongolskich jest Panczen-Lama, który w ciągu kilku lat ostatnich mieszkał na wygnaniu w Mongolji Wewnętrznej i dopiero niedawno powrócił do Tybetu, gdzie ma ująć w swe ręce (z powodu nieletności Dalaj Lamy) rządy duchowne i cywilne tego kraju.

Na zakończenie warto w kilku słowach przypomnieć starożytne dzieje Mongołów. Pierwsze wiadomości o Mongołach są zawarte w kronikach chińskich. Aczkolwiek nazwa „Mongoł“ czyli „Mung-ku“ występuje dopiero w X-ym w., jednak lud ten był znany Chińczykom już na kilka stuleci przed Chr. pod nazwą „Pe-ti“, czyli „północnych barbarzyńców“. Właśnie dla obrony swego państwa przed ciągłemi najazdami tych niespokojnych sąsiadów Chińczycy zbudowali swój Wielki Mur, bez którego dynastja Han (panowała od 206 r. do 25 roku przed Chr.) nigdy nie potrafiłaby dokonać zjednoczenia narodu chińskiego. W tych czasach Mongołowie koczowali, jak przypuszczają, na południo-wschodzie od jeziora Bajkalskiego do rzeki Arguni. W III i IV w. po Chr. część Mongołów przechodzi Sajany i osiedla się we współczesnej Chałchji, czyli Mongolji Zewnętrznej, między rzekami Selengą, Orchonem, Kerulenem, Tołem, Ononem i nad Amurem.

Po raz pierwszy plemię „Niung-nu“, przypuszczalnie pochodzenia mongolskiego, tworzy państwowość i w IV-ym w. po Chr. występuje pod ogólnie znaną nazwą Hunnów. Pewnych, zresztą nader szczupłych, wiadomości o Mongołach dostarczają nam także napisy, znalezione w rejonie rzeki Orchon, pochodzące z VII-go lub VIII-go w. Jak wynika z tych napisów, Mongołowie posiadali wówczas państwowość i początki cywilizacji. O Mongołach wspominają poza tem kroniki chińskie z IX, X i XI wieku. Na arenę światową występują Mongołowie dopiero w początkach XIII stulecia pod wodzą swego księcia Temuczyna, który otrzymał w 1206 r. tytuł Dżingis-Chana. Wielki ten zdobywca podbił wszystkie ludy Azji Środkowej i wyruszył na zdobycie ówczesnego świata. Następcy jego ujarzmili Indje — aż do Gangesu, kalifat Abassydów (Bagdadzki), spustoszyli ziemie rosyjskie,

polskie i węgierskie, — zdobyli Chiny, Koreę, Birmę, Kambodżę, Annam, Tybet. Jednak Mongołowie, z powodu swej zbyt szczupłej liczebności i stosunkowo niskiego poziomu kulturalnego, a jeszcze bardziej ze względu na olbrzymie obszary założonego przez siebie państwa — nie mogli utrzymać przez dłuższy czas swego stanu posiadania. To też podwładne im ludy odzyskały stopniowo swą niepodległość, a właściwi Mongołowie utrzymywali się jedynie na dawnych swych ziemiach, gdzie po dziś dzień koczują ze swemi stadami, prowadząc taki sam tryb życia jak ich przodkowie. Ziemie ich dzielą się pod względem administracyjnym, tak jak za czasów Dżingis-Chana, na „ajmaki" (dzielnice książęce lub korpusy wojskowe), te zaś na „choszuny" (dywizje) i „sumuny" (szwadrony).

# K S I Ą Ż K I

**Stanisław Rogowski: P a n n y l e ś n e.** Lwów, 1935.

Jednem z najosobliwszych zjawisk pośród najmłodszego pokolenia literackiego jest Stanisław Rogowski. Jest to poeta niezmiernie trudny do zakwalifikowania, gdyż niemal pozbawiony rodowodu. Publikowane po czasopismach, rozproszone wiersze jego nie budziły bezpośredniej aprobaty, zwłaszcza wśród tych, którzy przystępują do oceny estetycznej z gotowym aparatem intelektualnym. Ich nieuchwytność zrazić mogła najmniej opornych. Conajwyżej ulegało się temu nieco zawstydzającemu odurzeniu, jaki płynie z wdzięcznej, pozornie prostackiej, a w istocie bardzo zawiłej melodji. A zatem: a u r a poetycka uderzała nam do głowy.

Rogowski, o czemkolwiek pisze, wyłącznie pisze o sobie. Nie jest to egotyzm w przyjętem znaczeniu tego słowa, jeno uleganie magji odczuwanego zmysłowo świata, owemu oczarowaniu, które jak przędza, rozsnuta z półziemskich światłocieni, osnuwało źrenice romantyków niemieckich, Achima v. Arnim, Brentana lub Tiecka. Byli to lirycy z a p a t r z e n i; im jaśniej i uporczywiej patrzyli, w tem głębsze zapadali uśpienie.Trans ten zwał się poezją. W takich psychikach, uwięzionych w sobie, świat przemienia się w zwierciadło widzących oczu. To jest piękno, hłahość i tragizm podobnej poezji. Z iryzującej kuli kryształowej wyjścia niema, a dotrzeć do niej niełatwo. Jest jak komar, zamkniony w zastygłym bursztynie, lub, jeśli kto woli, Anioł płynący poprzez szkło. Dosłownie jest z tej „przędzy snu", o której wspomina szekspirowska „Burza".

To też cały pierwszy cykl tomu, którym debiutuje Rogowski, zwie się „Ja". Ballady (bo tem są w samej rzeczy te wiersze), które składa ten urodzony elegik, tleją jakby rozpyloną świetlistością, podobnie jak niektóre utwory Leśmiana; jest to skądinąd jedyne powinowactwo autora z dotychczasową liryką polską i włącza go od biedy w linję naszych symbolistów. Są to poblaski transu. Guślarstwo to nie jest wyrozumowane, przeciwnie: biologiczne. Symboliczny folklor Rogowskiego sięga źródeł plemienności, rozmarzenie jego nawskroś jest słowiańskie. Przeskakuje on jakgdyby mimowiednie cały wielki okres polskiego romantyzmu, by po całem stuleciu spotkać się z miękką i tajemniczą rzewnością Kazimierza Brodzińskiego. Dlatego elegijne zaśpiewy jego są w samej rzeczy ludowe, nie przez intencję, lecz przez wspólność źródeł; nie są podrabiane, ni wystylizowane, jeno spontaniczne; i równie zagadkowo - wieloznaczne, jak wiele z przysłów, pogwarek, zaklęć lub piosenek chłopskich.

Kto wie, czy Norwid i Lenartowicz nie ucieszyliby się taką poezją. Dodać trzeba, że jest to poezja nawskroś dekoracyjna, co nieodłączne jest od samego jej gatunku, na tyle ozdobna i „kolorowa", na ile jest nią krzyż przydrożny, figura w wiejskim kościele, ołtarzowy półzmrok. Jest to dekoracyjność o b r z ę d o w o ś c i. Jeśli zaznaczyć wreszcie niepospolite wyczulenie autora na brzmieniowe wartości i powinowactwa zgłosek, wyrazów i sylab, to otrzymamy w wyniku sugestywność niewiele ustępującą Czechowiczowi. Tylko alembik z innych zespolony jest elementów.

Filtr ten bowiem nie pozbawiony jest zawiesin. Inaczej być nie może, gdyż Rogowski prawie wyłącznie, jawnie lub skrycie, opiewa samotność stworu biologicznego, stworu napoły jeno urobionego, niezupełnie wychylonego na powierzchnię. Jest to udręka genezyjska pra - plazmy, tęskniącej do wyższych wcieleń, jakby to określić mógł Słowacki. Bo i czemże jest taka inkantacyjna, bardzo piękna „Modlitwa", jeśli nie powrotem w ciepłą senność gleby, w straszną i słodką ciernistość ziemi, w czarne i grząskie stawanie się

nieforemności, w ów „pra-ił", tak głośny w czasie Przybyszewskiego? Ów proces psychiczny freudysta określiłby jako regresję, a socjolog mógłby się w niej dopatrzeć tendencji antykulturalnej.

Roślinność, a raczej wegetatywność, szczerość bezwolności, hypnoza rzucana przez rzeczy, unoszenie prądem znikąd w nigdzie, wyłączenie instancyj kontrolujących, — p o e z j a c z y s t e g o i n s t y n k t u. Pejzaży bezpośrednich prawie niema, podobnie jak u Jesienina, z którym autora łączą liczne podskórne filjacje (bynajmniej nie zapatrzenia); krajobraz poprzez wspominanie przemienia się w k r a j o b r a z u r o j o n y; kolorystyka i obrazowość Rogowskiego jest całkowicie imaginacyjna, podobnie jak działo się u rosyjskich imaginistów. Siłę oddziaływania i poczucie wierności, jakie w nas budzi, zawdzięcza wyłącznie intensywności. To może właśnie zwać się godzi powołaniem lirycznem. Nie razi nas bowiem nawet sonet, który cykl dopełnia. A przecie zważyć trzeba, iż wbrew rygorystycznej budowie, przysługującej temu rodzajowi wersyfikacyjnemu o prawach ustalonych zdawna, nietylko nie gorszą nas asonanse, lecz nawet bezkonturowa rozwiewność dziwnego tego sonetu, jego — rzecby się chciało — pieśnianość. Jest w tem logika wewnętrzna.

Jest ona również w nazwaniu cyklu następnego, części drugiej książki, „Krajobrazy". „Ja" autora buduje wokół siebie jakby małżowinę, tęczującą skorupkę. A krajobrazy te zrodzone są z ducha muzyki, a raczej melodyki. Bezznaczeniowa, mimowolna, napoły bezwiedna partytura tych nut poetyckich równie drażni, ile zachwyca. W niezmiernej piękności wierszu tytułowym („Panny leśne") Rogowski dotarł jakgdyby do niebezpiecznych krańców swej niewyrozumowanej poetyki; t u i r r a c j o n a l n y a k o m p a n j a m e n t p r z e m i e n i ł s i ę w m e l o d j ę g ł ó w n ą. Feerja zamknęła się w sobie, jak magiczne koło na zawsze nieprzekraczalne. Dziwny więzień opowiedział nam śpiewnym żalem swój sen nocy letniej. Podobne brzmienie posiada następne arcydziełko, „Kalinów". I tu ktoś uśpiony, zawarty w obręb krajobrazu jak w lustrzane ściany, przygląda się widziadlanym, rozpłynionym barwom, które niejako uzyskały pierwotne, absolutne wartości. Możnaby to określić dosyć dowolnie jako idee platońskie obrazów przyrody; nie zapominajmy, że tak określićby można wszelką poezję prymitywów. Tu bodaj docieramy wreszcie do pierwiastka, który nie pozwala nam w pełni delektować się samym gatunkiem takiej poezji. Na dnie tych przelewających się wzajem w siebie obrazów (patrz typowo transformistyczny „Kalejdoskop"), na dnia chrypiącego dysonansu, który przebija się, stłoczony, spośród słów oślizgłych (patrz „Leśna rzeka"), czai się zachwyt paniczny, czai się l ę k. Jest to bowiem poezja n i e d o k s z t a ł c o n e j o s o b o w o ś c i, spośród soków i szlamu narodzin z trudem wykluwającej się jaźni.

Trzeci i końcowy cykl książki zatytułowany jest, najwidoczniej pod naporem owej ślepej, wspomnianej poprzednio logiki, poprostu „Ballady". Jest on naogół słabszy od poprzednich, co wielce jest znamienne, jeśli zważyć, że właśnie tu autor usiłuje przekroczyć zaklęte koło osobowości, sięga do motywów przedmiotowych, próbuje opiewać cudze niedole—uprawia, słowem, próby epizmu. Jest to chwalebny gwałt, zadany typowi własnego talentu, lub też poczucie, że na drodze dotychczasowej niema wyzwolenia. Spomiędzy uwag tych wyłączyć należy mocny „Cmentarz odkupionych", najpiękniejszy bodaj wiersz polski, jaki napisano na temat tak zdawałoby się zużyty i nadużyty, jakim jest mogiła nieznanego żołnierza.

Jakiż wniosek ogólny? Wielokrotnie stwierdzano, iż w Polsce ostatnich lat dziesięciu do głosu dochodzą poeci chłopskiego pochodzenia. Konserwatyzmu chłopskiego doszukiwano się wyłącznie w socjologicznych determinantach. Zbyt pochopnie zapomniano o biologicznych przesłankach. Prawdziwy liryk, Rogowski, nie jest tylko zagadnieniem petyckiem, lecz w równej mierze kulturalnem.

*

**Tadeusz Hollender:** C z a s, k t ó r y m i n ą ł. Lwów, 1935.

Tytuł zbioru wierszy, którym debiutuje Tadeusz Hollender, odnosi się zapewne nietylko do jakiejś epoki, którąby poprzedzała współczesność, ile do własnej młodości autora. Nazwanie tomu określić ma najprawdopodobniej dystans samego poety do wzruszeń i przeżyć, obecnie dla niego już nieaktualnych, włączyć książkę w zakres tego, co niektórzy nazywają „pamiętnikiem lirycznym". Taka, przypuścić wolno, jest intencja autora i, jeśli tak jest w istocie, zawierą ona pewien moment usprawiedliwienia; dotychczas prezentował się nam bowiem Hollender jako wybitnie zdolny liryk pokroju raczej publicystycznego, pełen temperamentu satyryk, a nawet paszkwilista. Coś nie coś z tonów tych napotkamy również w tym tomie pierwszym, w dziale końcowym zwłaszcza, przerzuconym do „innych wierszy". Lecz chyba dopiero zbiór następny, obecnie już w prasie zapo-

wiadany, pozwoli nam zetknąć się z całkowitą osobowością poety, którą tu nam podano w skali uszczuplonej.

Tak jak się rzecz ma obecnie, mamy do czynienia z pierwocinami poetyckiemi, które z natury rzeczy są nierówne. W cyklu pierwszym książki, tytułowym, uderza nas przedewszystkiem wyrobione ucho autora, dobitne jego poczucie rytmiczne. Hollender bardzo umiejętnie operuje wierszem akcentowanym. Czy będzie to krótki tok pobudkowy, czy dłuższy, elegijny, nic mu niepodobna zarzucić. Rytmika bowiem zdaje się być jednym elementem kompozycyjnym, w pełni przez autora opanowanym, jedynym, który wierszom tym udziela formy. Jest znamienne, że większość utworów tych jest przydługa, a nawet wręcz rozgadana; niemal każdy z nich zyskałby na skróceniu. Właśnie tu rytmika ponosi Hollendra, napęd liryczny wykracza poza konieczności tematyczne. Niedość trafnie gospodaruje on materjałem, niedość narzuca sobie ograniczeń. Charakteryzuje go w większości wypadków cecha bardzo rzadka, świadcząca zarówno o jego spontaniczności, jak i o niedostatecznem opanowaniu tejże wybuchowości: część druga, czy choćby końcowa większości wierszy tych (patrz wiersz tytułowy) znacznie przewyższa początek, do tego stopnia, że niekiedy opuścilibyśmy chętnie coś, co uznamy za introdukcję. Hollender najwidoczniej „rozpisuje się" w trakcie składania słów, podobnie jak dzielny i rutynowany tenisista rozgrywa się na korcie, broniąc barw swego zespołu.

Nie napróżno bowiem uniesienie liryczne autora rodzi tu się tak często z samej treści anegdotycznej wiersza (patrz „Do A. Gerbault", „Lotnicy", oraz szereg innych), jak to niegdyś za młodych lat bywało u Wierzyńskiego. Liryzm podany tu jest w samym temacie, nie zakonspirowany w formie, jak żądają nowocześni lirycy. Mogą być tacy, którym wyda się to naiwne, lecz czemuż naiwność nie miałaby mieć prawa obywatelstwa w poezji? Jest w tem skądinąd coś szlachetnego, pewna tęsknota za nieprzystosowaniem, pewien przyrodzony nonkonformizm, który charakteryzuje wszelki romantyzm przygody tak znamienny dla okresu, w którym dorastający chłopcy ciągle jeszcze nie potrafią się rozstać z marzeniami na miarę Karola Maya. „

Taka „Ballada o pannach prowincjonalnych" (poza rodowodem z Tuwima) wywodzi się z pierwiastków pokrewnych. Balladę tę nazwaćby można persyflażową, gdyż karykaturuje ona własny swój liryzm. Autor jakgdyby głęboko nie ufa sobie, co wytwarza wrażenie pewnej bezstylowości, tem bardziej dziwnej, że w parze z nią idzie duża umiejętność wersyfikacyjna. Hollender bowiem jest urodzonym wierszopisem, posiada temperament prawdziwego poety, a raz po raz potyka się na obrazowaniu. Obrazowością nadto ładuje swe wiersze, zamiast je streszczać, temsamem krystalizować. Dlatego najintensywniejsze jego wiersze („List o nocy strasznej", „Jedna noc") sprawiają, mimo zalet, wrażenie popisowych.

Taki też konsekwentnie jest jego stosunek do przyrody, którą przeżywa bardzo silnie. Niema w tem nic z mózgowości, grasującej nagminnie u najmłodszych, lecz pewien typ romantyzmu z okresu zabaw w czerwonoskórych. Przyroda dla Hollendra mitycznieje i, co za tem idzie, straszy. Zmusza go to albo do wegetatywnego smakowania pejzażu, którego mistrzem znów jest Tuwim (a nie jest to naśladownictwo, jeno powinowactwo), lub też do opisywania natury, opisywania nawskroś lirycznego, nieuprzedmiotowionego. Daje to bardzo ładne efekty („Wierzba", „Wieczór pod lipą"). Dłuższe poemaciki cyklu tego są już tylko gawędami, są dobrą robotą literacką, taką jaką niegdyś spotykaliśmy u Lucjana Rydla.

Część ostatnia tomu posiada najwięcej akcentów zaczepnych. Przemawia w niej lwowski gavroche, rozmiłowany w swem mieście rodzinnem i nienawidzący zarazem jego kołtunerji. Szczególnie udatny z cyklu tego jest „Wiersz o czarnej wodzie" i nie dziwiłbym się, gdyby wypunktowano go dosadnie na którejś z estrad recytacyjnych. Wszystkie utwory części tej posiadają bardzo podniesioną temperaturę, opala nas tutaj podmuch, który wiał jeszcze za wiosny ludów, tak bliskiej tradycjom lwowskim. Jest to tonacja, którą uprawiał niegdyś Wiktor Hugo, za którą laury zbierał Béranger: połączenie inwektywy, piosenki i gassenhauera. Ton ten, mało mający wspólnego z poezją, którą przywykliśmy zwać czystą, jest celowy i sugestywny, gdy użyty jest w miarę. Tu werwa autora, liryczna jego agresywność, rozjątrzony patos, najlepsze znajdują ujście. W tomie następnym zapewne melodja ta okrzepnie, rozrzutny autor przestanie nią szafować. Narazie stwierdzamy tylko bardzo duży temperament poetycki Hollendra.

*

**Maciej Freudman:** Koncert. Lwów, 1935.

Trzeci z lwowian, Maciej Freudman, w tejże samej serji występuje z tomem p. t. „Koncert". Wierszyk introdukcyjny, od którego poszło to nazwanie, jest błahy i splątany; a przecie taki tytuł ogólny winien obowiązywać: poza mimowolnemi skojarzeniami

z „Panem Tadeuszem", czyli z echami najwspanialszego polskiego klasycyzmu, zaostrzającemi wymagania, oczekujemy conajmniej skończonej całości, zamkniętej i umiejętnie zespolonej harmonji. Zbiór zaś, przeciwnie, jest niejednolity. Rozbity na trzy części, nie pozwala dopatrzeć się koordynanty kompozycyjnej.

Część pierwsza, nazwana „Pióropuszem", obejmuje wiersze na tematy, które podciągnąć można pod miano publicznych. Naogół jest to dość grubo ociosany surowiec, niewytrawiony dostatecznie materjał, prymitywny raczej budulec. Tu i ówdzie znajdujemy wtrącone zdania, które są nierozwiniętemi zalążkami idej istotnie poetyckich. Autentyzm i weryzm miesza się ze stylizacją, potykającą się o nieporadność, zwłaszcza składniową; w ten sposób zbyt często następuje wulgaryzacja pięknych skądinąd motywów.

Tonacja jest szlachetna, sympatyczna przez swą romantyczną młodzieńczość, prawdziwa przez kierunek uniesienia (patrz „Don Quijote"). W sumie: inteligencja literacka (nie liryczna) bez śladu jakiejkolwiek dyscypliny, z trudem poszukująca stosownej dla wypowiedzi metody. Są to nietyle osiągnięcia artystyczne, ile wyczyny i próby zaprawiającego się w pisarstwie młodego literata. Z serji tej najbardziej interesujące: z prawdziwym talentem napisany „Bunt" oraz profesorowi Chwistkowi poświęcona „Europa".

Cykl drugi zwie się „Ballady i romanse", co jest znamienne dla atmosfery panującej wśród młodego Lwowa poetyckiego. Podobne motywy i tonacje spotykamy wśród wszystkich rówieśników Freudmana z nad Pełtwi. To też „Ballada o trzech chłopcach", poświęcona trzem kolegom, zawiera — poza chybionem całkowicie zakończeniem — coś, co nazwałbym przejmującą prawdą młodości, zamkniętą w słowa niewyszukane. Następna ballada o „Lejtnancie Bolodze", rumunie, który czasu wojny zginął na austrjackiej szubienicy, posiada kilka partyj poetycko pięknych i ujmuje przez silnie wyrażoną solidarność z bezinteresownem męstwem ludzkiem. Pozostałe wiersze cyklu (poza całkowicie sztubacką „Balladą podzwrotnikową") pozwalają nareszcie w autorze dopatrzeć się liryka. Nie bardzo są oryginalne, często z wtórnego lub mniej wybrednego zestawione materjału, lecz naogół dobre, niezafałszowane uczuciowo, sugestywne.

Końcowy cykl zawiera dwa wiersze, czerpiące motywy z rewolucji francuskiej. Są to rzeczy estradowe, które w ustach inteligentnego recytatora zyskaćby mogły na dobitności. Są to zatem wiersze popisowe w dodatniem znaczeniu tego słowa. Ma się wrażenie, że autor powziął trudne zadanie wersyfikacyjne i z powodzeniem je wykonał. Lecz od takich dokonań do poezji czystej daleko.

**Stefan Napierski.**

**Wacław Borowy:** D z i ś i w c z o r a j. Warszawa, 1934, Tow. Wyd. „Rój", str. 269.

Pod wspólnym tytułem **Dziś i wczoraj** zebrał Wacław Borowy jedenaście swych studjów i artykułów. Czołowe miejsce w zbiorze zajmuje dawna rozprawa o Wyspiańskim **(Łazienki a „Noc listopadowa");** za nią idzie pięć prac o Żeromskim (szkic o „Przepióreczce", studjum **Żeromski i świat książek** i trzy drobniejsze artykuły); w dalszym ciągu otrzymujemy portrety literackie Kasprowicza i Langego, artykuł o Edwardzie Słońskim oraz recenzję z powieści Perzyńskiego „Raz w życiu". Zamyka książkę znowu obszerne studjum **Edward Porębowicz jako krytyk i jako badacz literatury polskiej.** Zestawienie tych tytułów i tematów z tytułem ogólnym nasuwa pewną refleksję. Wyspiański, Żeromski, Kasprowicz, Lange, Słoński, Perzyński — kto z nich właściwie reprezentuje „dziś" literackie? Zapewne, niektóre z dzieł omawianych przez Borowego, jak „Uciekła mi przepióreczka", „Mój świat" „Raz w życiu", powstały w okresie powojennym, naogół jednak twórczość wymienionych pisarzy należy do przedwojennej konfiguracji duchowej, do „Młodej Polski".Taki wybór i zakres tematu w pewien sposób charakteryzuje krytyka; znać, że nie czuje się on dobrze w sferze zjawisk płynnych i nieustabilizowanych, wśród wartości niepewnych, gdzie każdy sąd jest ryzykiem i stoi osobistą stawką sądzącego. Autor „Antologji liryki polskiej", nie bez przyczyny zakończonej na Staffie, unika sądów ryzykownych i z tego powodu zachowuje wobec bieżącej produkcji literackiej postawę pełną rezerwy. „Dziś" w tytule jego książki nie oznacza naprawdę współczesnego okresu z jego chaosem nowych prądów i indywidualności pisarskich; jest to tylko spokojne przejście, ewolucja od „Hymnów" do „Księgi ubogich" i „Mojego świata", od przedwojennych rzeczy Żeromskiego do „Przepióreczki" i t. p.

Nie znaczy to wcale, że Borowy jest zaślepionym chwalcą wszystkiego, co chwalono i czczono w przeszłości. Jego studjum o Wyspiańskim np. należy do najbardziej krytycznych, jakie o tym poecie napisano. Napozór jest to skromny przyczynek do genezy „Nocy listopadowej", proste wyliczenie elementów, które z realnych Łazienek żywcem przeszły do dramatu. Ale przytem wychodzi najaw, że Wyspiański ożywił w swym

utworze posągi łazienkowskiego pałacu i że tylko uwzględniwszy tę okoliczność, możemy należycie zrozumieć i zinterpretować jego dzieło. Dodajmy tu od siebie, że w ogólności krytyka zbyt małą zwracała dotąd uwagę na osobliwą wtórność Wyspiańskiego; nie da się jej sprowadzić do pospolitych „wpływów" ani też wyprowadzić ze świadomego zamiaru artysty, jak to dzieje się w naśladownictwie, parodji czy stylizacji. Zdaje się ona raczej wynikać z samego charakteru wyobraźni twórczej, która rozsnuwa barwną i poetyczną mgiełkę swych asocjacyj wokół jakichś wcześniejszych, pierwotnie danych przedmiotów. Mogą to być obrazy, rzeźby, popularne pieśni, znane teksty literackie lub historyczne. I jak świadczy studjum Borowego, na drodze badań genetycznych, odsłaniających to realne podłoże fikcji poetyckiej, dochodzi się szybciej i pewniej do celu, aniżeli postępując utartym szlakiem zawodowych hierofantów i egzegetów.

Na marginesie „Nocy listopadowej" podał Borowy króciutką charakterystykę i ocenę artyzmu Wyspiańskiego. Dwie te stroniczki zawierają w sobie więcej treści od wielu grubych tomów. Dowiadujemy się z nich, że twórca „Wesela" „lubił w dramatach swoich posługiwać się środkami, zaczerpniętemi z dziedzin pozaliterackich". Ten wielki poeta nie był równie wielkim pisarzem; ekspresja językowa stanowi słabszą, ułomną stronę jego dzieł. Nie mogąc wypowiedzieć się w pełni jako artysta słowa, wprowadzał Wyspiański do swych utworów szereg innych czynników, nazwanych przez Borowego muzyką literacką. Są to refreny, najrozmaitsze powtórzenia, alliteracje, następnie popularne melodje i pieśni (por. „Warszawiankę"), wreszcie owe ożywione obrazy i posągi, budzące w czytelniku (a zwłaszcza w słuchaczu i widzu teatralnym) mgliste, nastrojowe asocjacje. Skuteczność tych środków artystycznych jest niewątpliwa; dzięki nim dzieła Wyspiańskiego wywierały i wywierają silne wrażenie. Po bliższej wszakże analizie to, co wydawało się głębią myśli, okazuje się nieraz artystyczną mistyfikacją. Tak więc na dnie „Nocy listopadowej" wykrywa Borowy dość konwencjonalną koncepcję historjozoficzną, wyrażoną w formie alegorji; z drugiej strony zaznacza, że trudnoby mówić o jakiejś wewnętrznej logice w przeprowadzeniu tej koncepcji: „panuje tutaj logika muzyczna"...

W zakończeniu swego studjum wymienia Borowy najważniejsze opisy Łazienek w literaturze polskiej i stwierdza, że „Noc listopadowa" pod względem środków stylowych ani się równać może z hypnotyczną siłą słowa Żeromskiego". Zdanie to zwraca naszą uwagę, wskazuje nam pisarza, który dał krytykowi idealną miarę dla jego odczuć i sądów estetycznych. Taki pisarz cieszy się zawsze szczególnem umiłowaniem krytyka. W imię swego umiłowania występuje Borowy przeciw heretyckim tezom Skiwskiego; co więcej, nawet Adamczewskiemu wypomina, że nie dojrzał całej wielkości twórcy „Popiołów". Także w szkicu o „Przepióreczce" znajdziemy ogniste ustępy polemiczne. Borowy jest wielkim entuzjastą tej sztuki, uważa ją za jeden z najbardziej harmonijnych i doskonałych utworów Żeromskiego, nie wszystkie jednak argumenty jego w tym względzie są przekonywujące. Natomiast bez zastrzeżeń i z rosnącym podziwem czytamy wspaniały artykuł nekrologowy „Po śmierci Żeromskiego", nieprześcignioną w swej zwięzłości i trafności charakterystykę syntetyczną wielkiego pisarza.

Najobszerniejszą z prac o Żeromskim jest dłuższa rozprawa **Żeromski i świat książek.** Jedno z dawniejszych studjów Borowego nosi podtytuł „humoreska krytyczna"; analogicznie tę pracę możnaby nazwać krytyczną gawędą. Z zapałem wielbiciela i ze starannością filologa wybrał Borowy z tekstów Żeromskiego wszelkiego rodzaju cytaty, parafrazy, wzmianki o książkach i pisarzach, refleksje nad literaturą, i ten obfity i bardzo zajmujący materjał uprzystępnił czytelnikowi w przejrzystej i pięknej narracji. Rozliczne wypowiedzi Żeromskiego o książce, o literaturze, o sztuce czytania przytacza z widoczną satysfakcją; znać że to już nie krytyk pisze o poecie, ale o zamiłowanym bibljofilu i bibljotekarzu opowiada drugi zamiłowany bibljotekarz. A przecież w tej ślicznej i zajmującej pracy jest coś niepokojącego, budzącego wątpliwości. Dotyka ona (ale tylko dotyka) rozmaitych kwestyj: formalnych (jak np. funkcja artystyczna cytatu, stylizacja jako chwyt literacki), psychologicznych (wpływ bibljotekarstwa na kierunek wyobraźni Żeromskiego), ideologicznych (pogląd na literaturę, różne sądy i oceny) — a zatem kwestyj, należących do kilku odrębnych dyscyplin humanistycznych: poetyki, psychologji i historji kultury. Tak więc jednolita pod względem tematu i jego artystycznego ujęcia nie posiada praca ta jednolitej i wyraźnie postawionej problematyki. Z drugiej strony uderza w niej pewne, dobrowolne być może, zacieśnienie: Borowy jakby rezygnuje z otwierających się przed nim perspektyw, nie rozpatruje zagadnienia „książkowości" w jego szerokich, ogólno - estetycznych i ogólno - kulturalnych aspektach, jak to np. uczynił Zygmunt Łempicki w swej niemieckiej rozprawie o romantyźmie („Bücherwelt und die wirkliche Welt"). I stąd za-

pewne wynika owa osobliwa dysproporcja między bogatym materjałem, zgromadzonym w tej pracy, a nikłością wniosków, z niego wysnutych.

Podobną dysproporcję odczuwamy przy czytaniu studjum o Kasprowiczu. Budzi ono najwięcej wątpliwości z całej książki, i znowu wątpliwości odnoszących się przedewszystkiem do metody, użytej przez autora. Większą część rozprawy wypełnia opis ewolucji duchowej Kasprowicza. Borowy daje szczegółowy obraz etapów tej ewolucji, posługując się przytem obficie cytatami. Wywody te przypominają nieco t. zw. „pogląd na świat", czyli nazywając rzecz po imieniu, systematyczne streszczenie myśli, zawartych w tekstach poetyckich. Stanowi to, jak wiadomo, nieodzowny rozdział konwencjonalnej monografji historyczno - literackiej. A przecież jest dosyć wątpliwe, czy rzeczywiście warto poświęcać tyle czasu i miejsca wyabstrahowanym myślom poety w oderwaniu od jego sztuki. Wszakże, naogół biorąc, są to mniej lub więcej dalekie echa popularnej w danym czasie filozofji życiowej. Idee są ważne w poezji przedewszystkiem jako czynniki organizujące fikcję literacką, czy też, mówiąc słowami Borowego, jako „ogólniejsze zasady strukturalne świata uczuciowego i wyobrażeniowego" (str. 146). Niestety, wbrew swym własnym słowom, w pracy o Kasprowiczu traktuje Borowy idee poety w sensie napół filozoficznym, napół publicystycznym. Dopiero w końcowym rozdziale mówi o ewolucji artyzmu Kasprowicza i stwierdza lakonicznie, że krystalizacja stylu schodzi się u niego z krystalizacją ducha. A przecież dopiero i właśnie w tym nieuchwytnym stosunku, w funkcjonalnym związku między ‚duchem" i stylem wyraża się osobowość artysty. Nie możemy tedy uznać tej pracy o Kasprowiczu (mimo niejednej zawartej w niej uwagi cennej i trafnej) za udany portret duchowy poety; jest to raczej, w przeważnej części, systematyczne i przejrzyste wyłożenie ideologji autora „Hymnów" w jej czasowym rozwoju.

Najciekawszą częścią tego studjum jest ustęp końcowy. Przynosi on ocenę poezji Kasprowicza ze stanowiska „ściślejszych kryterjów estetycznych" i pozwala bezpośrednio wejrzeć w miary i sprawdziany krytyczne autora. Postawę literacką Borowego charakteryzuje od strony negatywnej niechęć do lirycznie rozlewnej i nieskoordynowanej sztuki schyłku XIX i początku XX wieku; od strony pozytywnej — upodobanie do jasności, prostoty, intelektualnego i artystycznego ładu. Tem tłumaczy się jego rezerwa względem „Hymnów" i „Marchołta"; spośród dzieł Kasprowicza najżywiej odczuwa Borowy późniejszą, ściszoną lirykę „Chwil" i „Księgi ubogich". W tem świetle jasna się również staje pewna obojętność krytyka na magję teatralną Wyspiańskiego i, z drugiej strony, wysoka ocena „Przepióreczki". Niezawodny smak i umiar krytyczny Borowego pozwala mu odczuwać piękno różnorodnych, nawet przeciwstawnych sobie przejawów sztuki: wielbiciel Żeromskiego jest równocześnie wielkim miłośnikiem Fredry; z drugiej strony postawa jego, mocna i stanowcza, sprawia, że nieraz ujemne oceny krytyka sprzeciwiają się potocznym sądom i przesądom. Tak ma się rzecz w stosunku do „Hymnów" i do „Żywych kamieni" Berenta (charakterystyczną dygresję o tej powieści znajdujemy w studjum o Porębowiczu). Wogóle jednak Borowy nie lubi rozwijać i mocno akcentować swych sądów negatywnych, nie nęcą go laury burzyciela posągów; jako miłośnik tradycji zadowala się wyborem rzeczy nieprzedawnionych, resztę osądzając — milczeniem. Przytem jego świetne krytyczne intuicje niezawsze zyskują na szczegółowej racjonalistycznej argumentacji.

W odróżnieniu od rozprawy o Kasprowiczu, budzącej tyle zastrzeżeń, sąsiadujące z nią niewielkie studjum o Langem stanowi znowu bezsporny triumf Borowego. Mamy w niem nowy dowód, że autor wielkiej monografji o Chestertonie jest nadewszystko — mistrzem miniatury krytycznej. Mimowoli zadajemy sobie pytanie: co właściwie stanowi o nadzwyczajnej plastyce i wyrazistości tego portretu? W pierwszym rzędzie chyba dobór rysów. Borowy wydobywa ich niewiele, skupia osobowość poety wokół kilku kojarzących się wzajemnie cech zasadniczych, takich jak stałe poczucie bliskości śmierci, tragizm wewnętrznego rozdarcia, gorycz osamotnienia i twardy, ascetyczny stoicyzm w znoszeniu przeciwności życia. Z temi rysami oblicza duchowego harmonizują ściśle cechy stylu autora „Rozmyślań": rozrzutność wersyfikacyjna tej poezji jest tylko maską duszy czułej i wstydliwej, bezpośredniem zaś odbiciem wewnętrznej surowości poety jest surowość tonu w jego utworach i prawdziwie ascetyczne ubóstwo słowa. To wyodrębnienie i zaakcentowanie kilku rysów naczelnych nadaje wizerunkowi Langego jego wielką jednolitość; swoistą konkretność i pełnię zawdzięcza on znów trafnie i pięknie wybranym cytatom. Wiadomo, że w charakterystykach osób dużą rolę ożywiającą i uplastyczniającą odgrywają „zacytowane" odezwania się czy zachowania w przypadkowych sytuacjach; podobnie w opisie postawy duchowej trafnie dobrane przytoczenie suggeruje atmosferę uczuciową myśli, swoisty styl przeżywania

abstrakcyjnego poglądu na świat przez konkretną osobowość. O sztuce cytowania Borowego możnaby napisać osobną rozprawę. Innym środkiem jego portretowej sztuki są delikatne, zrzadka i jakby niechcący rzucane zwroty metaforyczne, ujmujące w poetyckim skrócie to co niepochwytne. Tak więc mówi Borowy o Langem, że najcenniejszą część jego poezji możnaby nazwać rozmową mistrza ze śmiercią; o Kasprowiczu, że przyrodzoną formą jego poezji była modlitwa; o przedwojennej liryce Słońskiego, że była „klawicynowo cicha" i że „długi czas stał on właściwie niby staroświecki muzyk amator poza bieżącem artystycznem życiem swej epoki". Nie możemy tu wdawać się w szczegółowy rozbiór techniki portretowej Borowego; próbowaliśmy jedynie zdać sobie sprawę z głównych cech jego artyzmu. Tak, artyzmu; autor „Dziś i wczoraj" jest przedewszystkiem artystą w krytyce literackiej, z tem niezbędnem uzupełnieniem, że artyzm w tej dziedzinie nie przejawia się bynajmniej, jak to potocznie się sądzi, w kwiecistem i bujnem wysłowieniu, lecz w darze konstrukcji i w umiejętności trafnego ujmowania rzeczy niepochwytnych. Studjum o Langem nie przynosi szczególnych rewelacyj w interpretacji dzieł tego poety ani też, ściśle biorąc, nie wprowadza nas w sferę poetyckich wartości jego utworów; jest to przedewszystkiem (nie ujmując w niczem naukowej ścisłości jego wywodów) mistrzowski portret duchowy, doskonałe dzieło sztuki o wartości zupełnie samoistnej.

Odrębną pozycję w książce Borowego stanowi studjum o Edwardzie Porębowiczu. Zaczyna się ono od słów: „Pisarz, któremu zawdzięczamy silne wzruszenia, należy nietylko do historji literatury ale i do naszej historji osobistej". Piękne to zdanie odrazu wprowadza nas w atmosferę dość niezwykle skomponowanej rozprawy, która rozpoczyna się wspomnieniami czytelnika a kończy — wspomnieniem ucznia. Środek wypełniają rozważania o charakterze ściśle już objektywnym i krytyczno - literackim, i tu jednak pierwiastek osobisty gra rolę niemałą. Kiedy np. Borowy opisuje ewolucję poglądów Porębowicza, który z wyznawcy Taine'a przeobraził się w zwolennika „arystokratycznej" zasady w historji literatury (powinna ona, jego zdaniem, stać się dziejami wielkich jednostek), lub gdy zaznacza, że stojąc na gruncie wiary i filozofji chrześcijańskiej, był przytem Porębowicz stanowczym i bezkompromisowym obrońcą kryterjów estetycznych w ocenianiu literatury, zawsze tu wyczuwany w poglądach referowanych równocześnie credo ideowe autora.

W studjum o Porębowiczu najsilniej zaznaczyło się to, co wogóle stanowi jeden z głównych uroków pism, a zwłaszcza portretów Borowego: uczuciowa solidarność portrecisty z modelem, przewijająca się dyskretną nitką przez tok naukowego wywodu. Drobne nawet przerwanie tej solidarności odczuwamy natychmiast, nawet bez specjalnego zaznaczenia krytyka; momentów tych jest jednak niewiele. Najpiękniejszy, najbardziej ujmujący akcent osobisty zawiera się w zakończeniu pracy o Porębowiczu, które jest równocześnie zakończeniem całej książki. Wyznaje tu Borowy, że ostatecznie, po napisaniu swego studjum, czuje się tylko uczniem, który nie umiał wywdzięczyć się swemu profesorowi i mistrzowi. Podobnie w zakończeniu niniejszego omówienia zarozumiały recenzent musi wyznać, że wobec tej książki, wbrew wszystkiemu co w niej poprzednio pochwalił lub zganił, czuje się tylko zwykłym czytelnikiem — czytelnikiem, który nie umie wywdzięczyć się autorowi za zgotowaną mu korzyść i przyjemność.

**Ludwik Fryde.**

**August Grodzicki:** Źródła historyczne „Popiołów" Żeromskiego. (Prace z Historji Literatury Polskiej, nr. 2). Kraków, 1935. Osobne odbicie z Rocznika Wydziału Filozoficznego U. J. tom I, 1930 — 1934. Str. 80.

Tytuł rozprawy zapowiada i za mało i za dużo. Za mało, bo p. Grodzicki, nie ograniczając się do źródeł historycznych, wciąga do swoich rozważań wszelkie wogóle, jakie się mu udało odszukać źródła **Popiołów,** a więc i opisy podróży (jak **Hiszpanję** Pawińskiego), na których podstawie Żeromski malował nieznane mu z autopsji pejzaże, i wkład jego własnych obserwacyj i przeżyć, o których mówią nam jego listy i **Dziennik podróży.** Za dużo, bo zajmuje się tylko pochodzeniem szczegółowych informacyj powieściopisarza, nie uwzględniając źródeł, które kształtowały jego poglądy na przedstawianą epokę.

Wartość tego studjum polega na ustaleniu długiej listy źródeł, z jakich Żeromski korzystał przy pisaniu **Popiołów,** stwierdzeniu, co każdemu z tych źródeł zawdzięcza, i określeniu w ogólnych zarysach sposobu korzystania z nich. Rezultaty badań p. Grodzickiego mają pierwszorzędne znaczenie zarówno dla charakterystyki **Popiołów,** jak i metod pisarskich Żeromskiego. Dają nam pojęcie o rozległości i gruntowności studjów historycznych, jakie Żeromski dla tego utworu przeprowadził: lista źródeł (niepełna jeszcze) obejmuje ponad trzydzieści pozycyj, przyczem większość stanowią nie opracowania, ale właściwe

źródła historyczne i drukowane i rękopiśmienne. Obfite zestawienia pokazują, jak Żeromski często całe ustępy ze źródeł dosłownie lub prawie dosłownie wcielał do swego dzieła (charakterystyczne, że starając się o typowość uzupełniał je czasem pod względem kolorytu historycznego). Korzystał ze źródeł przy odtwarzaniu wypadków i osób historycznych; ale i sytuacje życiowe postaci zmyślonych układał na wzór wyczytanych w pamiętnikach, przejmując jednak tylko to, co było dla epoki typowe, i osiągając w ten sposób istotną wierność historyczną bez niewolniczego kopjowania źródeł [1]). Nie wszystkie informacje źródłowe przemawiały równie silnie do wyobraźni Żeromskiego. Jedne nie wywoływały w niej echa i autor włączał je poprostu do swego dzieła, by uczynić zadość pragnieniu ścisłości i dokładności historycznej, obciążając utwór materjałem erudycyjnym. Inne (np. opisy chorób albo zniszczenia wojennego) natrafiały na grunt podatny i autor uzupełniał je i rozwijał con amore.

Konstatacje zależności Żeromskiego od poszczególnych źródeł są w rozprawie p. Grodzickiego w pełni uzasadnione. Ani śladu tu subtelnych kombinacyj i naciąganych zestawień ,do których w pracach tego typu — nawet w pracach znanych i uznanych badaczy — już przywykliśmy. Metoda filologiczna autora jest bez zarzutu.

Zamierzenia jego są jednak nietylko filologicznej natury. We wstępie zaznacza, że porównanie źródeł z przetworzeniem ich w powieści jest „badaniem procesu twórczego, w jakim suchy materjał historyczny zmienił się w pełne życia dzieło sztuki" i charakteryzuje autora, jego sposób tworzenia, upodobania i artyzm. Niezwykle ciekawego materjału, który zgromadził, nie wyzyskał jednak należycie pod tym względem. Trzy kropki, które zbyt często w zestawianych ustępach z Żeromskiego i jego źródeł zaznaczają miejsca opuszczone, przypominają wciąż, że p. Grodzicki wydobywa przedewszystkiem ustępy wspólne Żeromskiemu i jego źródłom; dla charakterystyki pisarza od tego, co przejął, ważniejsze jest to, co pominął i co dodał. Sposób przetwarzania źródeł przez Żeromskiego określa więc ta praca tylko ogólnie i fragmentarycznie, przyczem zestawienia tekstów są czasem wymowniejsze od dodanych do nich komentarzy autorskich. Końcowe „wnioski" są częściowo zwykłem zsumowaniem (nie syntezą) poprzednich twierdzeń szczegółowych, w większości zaś ogólnemi, przeważnie nieciekawemi uwagami o **Popiołach,** które możnaby prawie bez wyjątku wypowiedzieć bez badań nad źródłami powieści. Są i sformułowania zupełnie nieszczęśliwe: „Już dawno zauważono, jako jeden z charakterystycznych rysów psychiki Żeromskiego, umiłowanie i pragnienie dobra, połączone z wiarą w fatalną konieczność zła, w którem zresztą znaleźć można estetyczną przyjemność" (nie w złem, oczywiście, tylko w nierozdzielnem często od niego pięknie i nie „znaleźć można przyjemność", ale mimo sprzeciwów sumienia nie można się obronić przed jego urokiem). Takie „drobne" wykolejenia tłumaczą, dlaczego autorowi trudno było wyjść poza ustalenia filologiczne. W źródłach **Popiołów** orjentuje się on znacznie lepiej, niż w świecie problemów Żeromskiego.

Urywkowo pojawia się we „wnioskach" sprawa historycznego objektywizmu Żeromskiego w **Popiołach.** P. Grodzicki dowodzi cytatem z Korzona, że sąd Żeromskiego o Polsce ówczesnej jest zbyt surowy. Studjujący źródła historyczne Żeromski był tak samo jak Korzon historykiem, choć napisał „tylko" powieść, i trudno entuzjazmować się metodą pognębiania jednego historyka autorytetem drugiego. W tym zaś wypadku Korzon absolutnie nie zasługiwał na cytowanie. Wystarczy podkreślić odpowiednie wyrazy w przytoczonym przez p. Grodzickiego sądzie o Polsce z końca okresu stanisławowskiego. „Po upływie lat kilku inaczej biły już serca... naród już nie szlachecki, ale w różnych warstwach i w znacznych grupach, c a ł y naród u c z u ł p r a g n i e n i e n i e p o d l e g ł o ś c i i wartość owej pojmować z a c z y n a ł". Idealizacji patrjotycznej jest w tem zdaniu napewno więcej niż zgodności z faktami i logiki.

Wszystkie wady rozprawy p. Grodzickiego mają jednak tak mocną przeciwwagę w bogactwie nowych faktów, które wnosi ona do naszej wiedzy o Żeromskim, że rozpoczęcie od niej nowej serji prac historyczno - literackich można uważać za dobrą dla tego wydawnictwa wróżbę, a redaktorowi — profesorowi Pigoniowi powinszować szczęśliwego początku.

**Alfred Fel.**

[1]) Odsłonięcie stosunku Żeromskiego do źródeł historycznych nie jest pozbawione aktualności wobec niedawnej dyskusji o traktowaniu źródeł historycznych przez powieściopisarza, wywołanej powieściami Leona Kruczkowskiego, który w stosunku do źródeł nie zachowuje ani lojalności, ani samodzielności artystycznej.

# OSTATNIE WYDAWNICTWA „DROGI"

Cena zł.

**Augustyn Jakubisiak:** Od zakresu do treści . . . . 7.—

**Paul Claudel:** Młodość Violeny (Bibljoteka Dramatyczna Drogi Nr. 11) . . . . . 3.—

**André Gide:** Persefona. Melodramat (Bibljoteka Dramatyczna Drogi Nr. 12) . . . . . 2.—

**Paweł Valéry:** Utwory wybrane. Przekład **Romana Kołonieckiego** . . . . . 6.—

**PRENUMERATORZY „DROGI" OTRZYMUJĄ RABAT.**



*Druk numeru ukończono dn. 27 czerwca 1936 r.*

*Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.*

*Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.*

*Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.*

*Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.*

*Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.*

*Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.*

*Cena numeru pojedyńczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.*

*Redaktor: WILAM HORZYCA*

*Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI*

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80

